

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 20. Warszawa, dnia 6 (18) Maja 1876 roku. **Rok 12.**

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu		na prow. w Cesar. i Królest.	
rocznie	rs. 6 k. „	rocznie	rs. 8 k. —
półrocznie	„ 3 „ „	półrocznie	rs. 4 k. —
kwartalnie	„ 1 „ 50	kwartalnie	rs. 2 k. —
miesięcznie	„ „ 50		

w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10.
w Galicyi Złr. 11 cent. 50.
w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA, SKŁAD GŁÓWNY I EKSPEDYCYA
PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w *Poznaniu* w księgarni Leitgebera i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Spółki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... w czynie.

XX.

Dzisiejszą kronikę przychodzi nam rozpocząć bardzo smutnie, bo pośmiertnem wspomnieniem o Drze Ludwiku Hirszfeldzie, którego zwłoki poniesiono na miejsce wiecznego spoczynku na cmentarz izraelski w piątek dnia 12 b. m. Ś. p. dr Hirszfeld był mężem wytrwałości, której zawdzięczał dojście do zawładnięcia prawdziwą nauką i zyskanie nader wybitnego w świecie naukowym stanowiska.

Urodzony w domu niezamożnym, otoczony konserwatyzmem wierzeń staroizraelskich, odebrał szczupłe a odpowiednie temuż konserwatyzmowi wychowanie. Party jednak wewnętrznym pociągiem ku nauce, wyuczył się języków: polskiego, łacińskiego i niemieckiego, ażeby módz dążyć już śmiało drogą prawdziwego światła. Nieposiadając prawie żadnych środków materyalnych do kształcenia się, był wszakże panem siły woli, która go wiodła do celu. Pojechawszy na uniwersytet wrocławski, poświęcił się głównie nauce anatomii, w której robiąc niezmierne a szybkie postępy, zyskał nie małe uznanie profesorów miejscowych.

Ukończywszy uniwersytet wrocławski, udał się dla dopełnienia specyalnych swoich studyów anatomicznych na uniwersytet berliński, a ztamtąd wprost do Paryża, w którym przebywał do czasu powołania go na katedrę anatomii do nowo podówczas powstającej w Warszawie wszechnicy.

W Paryżu obok posiadania katedry anatomii i stanowiska szefa kliniki odznaczył się ś. p. Hirszfeld znakomitemi i sławnemi na cały świat uczony preparatami anatomicznemi, z pomiędzy których wybrano wzóry do ułożenia sławnego atlasu newrologicznego.

Mimo sławy i zaszczytów jakim obsypywanym był w Paryżu przez cały świat uczony, powrócił ś. p. Hirszfeld do kraju rodzinnego, by udzielić ziomkom swoim nabytego z takiem poświęceniem naukowego światła. Tu znane jest imię ś. p. dra Hirszfelda jako znakomitego profesora i zacnego przyjaciela młodzieży. Tu także obok wykładów uniwersyteckich napisał znakomite dzieło p. t. „Anatomia opisowa“ w czterech tomach.

Pogrzeb ś. p. Hirszfelda odbył się z całą czcią i poszanowaniem dla zasług uczonego nieboszczyka. Ciało jego poniesione na barkach tych, których oświecał, oddane zostało ziemi, tej depozytaryuszce emigracyi zdoczesnego życia, wśród massy inteligencyi warszawskiej i w obec odpowiednich na mogile przemówień: dziekana wydziału medycznego, profesora Dra Brodowskiego, profesora Czasusowa i dwóch studentów uniwersytetu p. p. P. i K. o życiu i naukowej działalności nieboszczyka.

Ukazując młodzieży naszej budujący przykład wytrwałości w pracy naukowej ś. p. dra Hirszfelda na, który przyszli członkowie społeczeństwa naszego z gorącą chęcią sprostania mu zapatrywać się powinni, dorzucamy na mogiłę zmarłego z całą czcią westchnienie żalu i pamięci.

* * *

Podobno Dyrekcya Teatrów ma zamiar zaangażować pannę Deryng podczas nieobecności na scenie naszej p. Heleny Modrzejowskiej, która dla wypoczynku usuwa się z takowej na pewien czas.

Nabytek z panny Deryng będzie bezwątpienia pomyślny dla komedyi i dramatu, które bardzo sprawiedliwie cieszą się opinią *znakomitą*, a utrzymanie tej opinii zależy od staranności dyrekcyi w skrzętnem zasilaniu sceny świeżemi a doborowemi siłami artystycznemi. Zastój bowiem chwilowy na tej drodze, bardzo łatwo sprowadzić mógłby stagnacyę pochlebnej opinii o scenie naszej.

* * *

P. Tytus Maleszewski pomieścił na Wystawie sztuk pięknych dwa wizerunki: Zygmunta Krasińskiego i Kazimierza Władysława Wojcickiego. Również przybyły na wystawę następujące produkcye artystyczne: tegoż samego malarza pastele „Portret damy“ i „Jadwisia“, olejny zaś p. t. „Troska.“ — Kostrzewskiego p. t. „Przed dworkiem“ — Rosena Jana p. t. „Niespodziany wystrzał“ i Perla Edmunda p. t. „Schadzka.“

Od oceny powyższych utworów wstrzymujemy się na teraz, ponieważ wkrótce pomieści-

my w niniejszem piśmie, maleńki przegląd naszej wystawy sztuk pięknych.

* * *

Mówiąc o obrazach nie możemy powstrzymać się od przypomnienia czytelnikom naszym p. Henryka Siemiradzkiego, którego wielki obraz p. t. „Jawnogrzesznica“ tyle wzbudzał podziwu przed kilku laty w Warszawie. Otóż podziw dla pendzla tego malarza przeniósł się aż do Włoch, tej kolebki sztuki.

Tem wyższą więc jest zasługa naszego rodaka malarza i tem skwapliwiej o sławie jego donosimy.

Ażeby jednak dać miarę uznania przez Włochów, talentu naszego ziomka, nie weźmą nam czytelnicy za zbyteczne, że przytoczymy tu artykuł, jaki *Gazetta d'Italia* zamieściła o nowym jego obrazie.

„Od niejakiego czasu (pisze ten dziennik w kółkach artystycznych o niczem innem prawie nie mówią jak tylko o wielkim obrazie Henryka Siemiradzkiego, który przedstawia męczeństwo chrześcian, palonych żywcem w ogrodach Nerona. Henryk Siemiradzki jest polakiem, lat około trzydziestu, bladej twarzy bardzo szlachetnej, oświeconej błyskami geniuszu. Od trzech lat bawi w Rzymie, a od dwóch pracuje nad ogromnym obrazem, który za miesiąc już ukończonym zostanie, choć od kilku już tygodni zwabia pod Nr 5 Via Margutta (prawdziwy Cartier latin artystów w Rzymie), wielkie tłumy admiratorów.

Idzie się tam pod wrażeniem ogólnego zachwytu, i stoi się przed obrazem z niemym podziwem.

Krytycy powiedzieli już wam, jakie wady posiada ten obraz; ale kiedy znajdujecie się przed tem płótnem, z pewnością nie przyjdzie wam na myśl sprawdzenia tego krytyków zdania.

Wyobraźcie sobie ogromne płótno 7 metrów długości i 4 szerokości. Po lewej stronie macie cały Rzym pogański, który na schodach i tarasach cesarskiego pałacu, otacza szumnie Nerona i oddaje się orgiom i szałowi. Na prawo na ciemnem tle zmierzchającego się nieba i roślin o ciemno zielonych liściach, wznoszą się słupy otoczone girlandami, do wierzchołków których są przywiązani pokryci smołą i słomą aż po piersi nieszczęśliwi męczennicy, stojący w oczekiwaniu ognia. U stóp tych słupów oprawcy i niewolnicy, zajęci są zapalaniem pochodni. Z tarasu, przybrany w togę kapłan powiewa kawałkiem szkarłatu na znak, że czas rozpocząć męczarnie, i już któryś z oprawców wstępuje po drabinie z zapaloną pochodnią, aby podłożyć ogień do jednej z męczenic. W kontraście między orgią pogańskiego świata i męczeństwem chrześciańskiego, znajduje się właśnie znakomita myśl przewodnia malowidła, którą Siemiradzki wyraził w słowach umieszczonych na ramie, każąc wyryć na niej wyrazy z Ewan. świętego Jana: *„et lux in tenebris lucet, et tenebrae eam non comprehenderunt.“*

Powiedziawszy tyle, nie mamy prawie odsię powagi opisywać dalej obrazu, w którym rusza ze sto osób, Neron z Poppeą spoczywa w lektyce (lektyka niesiona przez ośmiu czarnych niewolników, przybranych w złote tuniki, na złotych drągach, osłonięta złotym baldachimem, całym wysadzanym perłową macicą, drogiemi kamieniami, lapislazuri z srebrzystym deseniem); jednem słowem, lektyka godna tego kto posiadał *domus aurea.* Żołnierze, senatorowie, matrony, gladyatorowie, zalotnice o bezwstydnem spojrzeniu, tancerki nagie, grający na cytrze, fleciści, przedwcześnie zepsuci młodzieńcy, starcy szukający Zuzanny, cały ten tłum lśniący od złota i przybrany w kosztowne materye wschodnie, lub ledwie okryci przezroczystemi tkaninami, przyklaskują Neronowi, śmieją się, hałasują, grają w kości, upijają się, całują, obejmują, słowem, wloką się w błocie wszystkich grzechów głównych. Zaledwie parę twarzy okazuje cień wyrzutu, wstydu. Zaledwie jakaś para pod wpływem pierwszej miłości, zdradza w sobie błysk cnoty; nie zważając na tłumy zadawalnia się powtarzaniem zwyczajnego „życie i duszo moja,“ które Juvenal nam podaje. Oto jest lud godny Nerona!

Jednem słowem, pan Siemiradzki stworzył dzieło, które dla niego będzie sławą.

Cóż mamy nadto powiedzieć? Chyba powtórzyć to, o czem nieraz mówiliśmy: że ziomkowie nasi prędzej zyskują uznanie poza granicami kraju jak u siebie. A dla czegóż to tak? Ha, chyba dla tego, że tam nieco bezstronniej oceniają talenta i (gorzka prawda), prędzéj się poznają na talentach naszych, aniżeli my sami.

* * *

Mamy nowego barytona.

— Któż to taki?

P. Chodakowski.

— A, to jeszcze go nie mamy, bo dopiero raz jeden debiutował.

Tak jest, debiutował na scenie teatru wielkiego, w Halce w roli Janusza. Jestto młody i ledwie początkujący śpiewak, który zapragnął sprobowania sił swoich na deskach teatralnych, z zamiarem spożytkowania ich w zakresie artysty śpiewaka seryo.

Próba ta wypadła dla pana Chodakowskiego dość pomyślnie, znając i usprawiedliwiając wrażenia jakie zwykle pierwszym występom towarzyszą, a które często nawet absorbują sporą część materyału wokalnego debiutanta.

Wnosząc jednakże z tego cośmy widzieli i słyszeli, czyli biorąc ogólne wrażenie, jakie na nas p. Chodakowski sprawił, pozwalamy sobie wróżyć mu przyszłość wcale przyzwoitego i użytecznego śpiewaka, jakim kiedyś przy usilnej i wytrwałej pracy stać się może, dla naszej opery, dość zresztą zagrożonéj.

Głos p. Chodakowskiego równy i dość metaliczny, o przyjemnem brzmieniu na całej skali; posiadający kolor barytonowy. Medium może jeszcze nie dość wyrobione, cokolwiek wydaje się za słabe; za to nuty wysokie, posiadają wiele miękkości i szerokości.

Tyle o samym materyale głosu— co zaś do akcyi, ta wymaga niezmiernego wyrobienia i pracy, ponieważ brak jéj wielki — a chcąc zostać artystą, potrzeba łączyć w sobie harmonijną nicią wszystkie warunki potrzebne do produkcyi sztuki. Radzimy więc p. Chodakowskiemu usilnie popracować nad akcyą, ponieważ na tym punkcie nie spostrzegliśmy w nim talentu, więc to pracą wypadałoby dopełnić.

* * *

Nie jesteśmy zwolennikami obałamucania głów młodym a początkującym talentom zbytniemi o nich pochwałami; na wszystko bowiem trzeba czasu i pracy; delikatnej wszakże zachęty nie wzdragamy się uczynić, zwłaszcza wtedy gdy rzeczywisty młody talent z zapałem i wytrwałością garnie się do pracy, ażeby czynić istotne postępy.

Tą myślą kierowani, pragniemy uczynić korzystną wzmiankę jeszcze o jednym początkującym śpiewaku panu Gebhardzie, który dotąd jeszcze nie scenę, lecz estradę wybrał za miejsce swego popisu.

Pan Gebhard śpiewał na środowym koncercie towarzystwa muzycznego, a śpiewał przyzwoicie i z pewną starannością.

Wprawdzie środki wokalne, jakimi pan G. rozporządza, nie są zbyt obfite, lecz można spodziewać się, że przy dalszej pracy i sumiennych studyach, może sobie zapewnić stanowisko śpiewaka lżejszego pokroju, do ról lekkich jako tenor *di grazia.*

* * *

Od sztuki przejdźmy do ekonomii i przemysłu, czyli od piękna do chleba powszedniego. Skok tu znaczny, lecz nie ryzykowny bo tak zwykły i naturalny jak to, że po sobocie przypada niedziela. Ale do rzeczy. W numerze 18 pisma naszego donosiliśmy czytelnikom o rozpoczynającej się działalności muzeum przemysłowego i o energicznem krzątaniu się jego komitetu około rozwoju tej nowej instytucyi.

Donieśliśmy zarazem o projektowanych przez tenże komitet dwóch wystawach czasowych w miesiącach sierpniu i wrześniu. Obecnie podajemy czytelnikom w całości program tych wystaw, zamieszczony w odezwie komitetu muzeum przemysłu i rolnictwa, ponieważ rzecz tę uważamy za nader pożyteczną i obchodzącą ogół nasz.

Odezwa mówi: Pierwsza czasowa wystawa w muzeum będzie rolnicza i obejmować ma: nasiona zbóż, traw, warzyw, owoców i narzędzia ogrodnicze.

Drugą wystawę z zakresu przemysłu, stanowić będą:

1) Wyroby krajowe metalowe, wchodzące w zakres kowalstwa, ślusarstwa, blacharstwa, nożownictwa, brązownictwa; przedmioty z drutów i różnych metalowych spławów, pokrywanych srebrem lub złotem; metalowe narzędzia mechaniczne i t. p.

2) Różne rodzaje garbarstwa i wszelkie rękodzieła, zajmujące się wyrobami ze skóry, jako to: szewstwo, rękawicznictwo, rymarstwo, przedmioty galanteryjne ze skóry i t. p.

Wystawa rolnicza rozpocznie się około 1 października, przemysłowa zaś w początku listopada bieżącego roku.

Uprzedzając o tem panów fabrykantów i rękodzielników, komitet muzeum zawiadamia jednocześnie, iż przy tych czasowych wystawach w muzeum przemysłu i rolnictwa, przestrzegane będą następujące przepisy:

1) Fabrykant lub rękodzielnik życzący przyjąć udział w wystawie, w podaniu, zrobionem do muzeum, oświadczyć winien, jakie mianowicie zamierza przedstawić przedmioty i ile miejsca na nie potrzebować będzie.

2) Przyjmowane będą tylko takie wyroby, które odznaczać się będą dokładnością roboty, taniością lub nowością pomysłu.

3) Wystawa każda trwać będzie tylko przez dni 8.

4) Wystawcy poprzestać winni na miejscach w salach muzeum przez administracyę wskazanych; życzący sobie zająć osobne miejsca zewnątrz szaf lub stołów, ponosić będą wszelkie koszta ubrania i urządzenia wystawy ich przedmiotów.

5) Dozwolonem będzie wystawcom rozdawanie: katalogów, cenników, adresów i t. p. Wolno będzie sprzedawać wystawione przedmioty, lecz zabieranie wystawionych wyrobów nastąpić będzie mogło dopiero po zamknięciu wystawy. Przedmioty dostarczone na wystawę z zamiarem sprzedania, powinny mieć oznaczoną cenę sprzedaży; przy innych przedmiotach, jakkolwiek oznaczanie cen nie jest obowiązkowe, pożądanem jest jednak by takowa dla każdego przedmiotu przez wystawcę ustanowioną była.

6) Kopiowanie wystawionych przedmiotów, robienie z nich fotografij, branie miar i t. d., bez pozwolenia wystawców, nie będzie dozwolonem w muzeum.

7) Przedmioty przeznaczone na wystawę, przesłane być winny na dni dziesięć przed terminem otwarcia wystawy.

8) Wszelkie koszta przywiezienia i odwiezienia przedmiotów na wystawę do muzeum, należeć będą do wystawców.

9) Przedmioty wystawione w muzeum, najdłużéj przez dni 15 po zamknięciu wystawy pozostawione być mogą w lokalu muzeum. Po upływie tego czasu uważane będą jako oddane na własność muzeum.

10) Wszyscy wystawcy będą mieli bilety wolnego wejścia na wystawę w muzeum, przez czas trwania wystawy.

11) Za przedmioty, odznaczające się dobrocią, starannem odrobieniem, nowością pomysłu i t. p. Muzeum udzielać będzie: pieniężne nagrody, tak samym wystawcom, jako też i osobom, które pracowały przy wyrobie nagrodzonych przedmiotów i listy uznania. Nazwiska wystawców nagrodzonych przez Muzeum zostaną ogłoszone w pismach publicznych.

Bliższa wiadomość o dniu otwarcia każdej wystawy i miejscu na nie przeznaczonem, później ogłoszoną zostanie. Odezwa komitetu kończy się bardzo uprzejmem wezwaniem pp. przemysłowców, ażeby brali udział w tych publicznych popisach, tak pożytecznych dla krajowego przemysłu.

* * *

Podobno pewne kółko prawników naszych i ekonomistów, ma zamiar wydawania połączonemi siłami Encyklopedyi nauk społecznych. Zamiar to piękny; dzieło tego zakresu i odpowiednich rozmiarów wzbogaci niezmiernie literaturę naszę, a pożytecznością swoją odda niemałe zasługi. Czekajmy aż zamiar zamieni się w czyn, a wtedy obszerniej o tem pomówimy.

* * *

Co też to sobie myśli ten pan Reiner, ażeby w Tivoli, wyraźnie w Tivoli, na koncertach orkiestry damskiéj naznaczyć taką cenę miejsc, jak co najmniej na jakieś nadzwyczajne przedstawienia teatralne z występami europejskich artystów dramatycznych. Cena ta bowiem dochodzi do 75 kopiejek za pierwsze miejsca, i dopiero w szarym końcu zmniejsza się do 30 kop. Panie Rejner, spuścić nieco z tonu, bo doprawdy, to za drogo.

* * *

Nasze Towarzystwo zachęty sztuk pięknych ogłosiło pięć nowych na rok bieżący konkursów, z tych trzy pochodzi z funduszów towarzystwa, a dwa z zapisu ś. p. Stanisława hr. Kossakowskiego.

Jako temat do *konkursu malarskiego* Towarzystwa, podano projekt figurowego ozdobienia plafonu nad klatką wchodową w lokalu Towarzystwa.

Za temat do *konkursu rzeźbiarskiego* podano projekt pomnika dla znakomitego autora Maryi, Antoniego Malczeskiego — i nareszcie do *konkursu architektonicznego* z funduszów Towarzystwa, wskazano projekt kursalu w Ciechocinku. Z funduszów zaś ś. p. hr. Kossakowskiego, jako temat do *konkursu rzeźbiarskiego* wskazano figurę Zmartwychwstającego Chrystusa Pana, a jako temat do *konkursu architektonicznego*: projekt babtysterium t. j. kaplicy łączącej się z nawą kościelną.

Termin złożenia opracowań przypada na dzień 22 grudnia r. b. a nagrody trzech pierwszych konkursów wynoszą po rs. 266, dwóch zaś ostatnich po 227 rubli.

* * *

Nareszcie po pewnych znakach widomych sądzić można że miasto nasze doczeka się kanalizacyi. Temi znakami widomemi jest zaś 138 otworów, jakie Prezydent m. generał Starynkiewicz polecił wyświdrować w różnych punktach Warszawy, celem zbadania pokładów gruntu — i wytworzenia tym sposobem pewnych danych do zamierzonej kanalizacyi. Robót o jakich mowa podjęła się fabryka hydrauliczna pana Mizerskiego i rozpoczęła już takowe na rozdrożu w alei Ujazdowskiej i w Belwederze.

* * *

Znany zaszczytnie w literaturze naszej pan Wacław Szymanowski, zatwierdzony został redaktorem „Kuryera Warszawskiego.“

* * *

W tych dniach złożonym został na skład główny w księgarni Gebethnera i Wolfa, drugi tom „Źródeł dziejowych“ mieszczący w sobie „Dzieje zjednoczenia ormian polskich z kościołem rzymskim w XVIII wieku, z dwóch rękopismów polskiego i łacińskiego, w przekładzie polskim, przez zasłużonego badacza dziejów profesora Adolfa Pawińskiego wydany.

* * *

Że rzucanie klątwy na szlachtę wyprzedającą lasy na nic się zgoła nie przyda, dopóki w danym wypadku, jedynie i wyłącznie u lichwiarzy zmuszoną ona będzie szukać kredytu, to rzeczy tak jasne jak np. jasne to, że tonący nie posłuchałby najpiękniejszych perswazyj iżby się brzytwy nie chwytał. W położeniu bo tonącego są najczęściej ci co przestrzenie leśne na brzęczącą monetę zmieniają. Żeby jednak zmarnować rzecz wartującą 300,000 za 45,000 rubli, no to już na to trzeba być specyalistą w swoim rodzaju.

O takim właśnie *specyaliście* donosi Gazeta Polska. Indywiduum to w gubernii S. zamieszkałe, sprzedało podobno w tych czasach żydom na wycięcie 250 włók starego lasu nad spławną rzeką położonego za 45,000 rubli,— kiedy 1,000 rubli za włókę lasu, to cena tak już niska że się o nią wcale, bez względu na miejscowość, prosić u nas nie potrzeba.

Napisaliśmy *sprzedało podobno*, chociaż bowiem Gazeta Polska rzecz tę jako fakt spełniony podaje, jeszcze nam uwierzyć trudno w operacyą tak monstrualnie idyotyczną.

* * *

Baczność panowie właściciele domów, bo wygórowane ceny najmu prowadzą do niewypłacalności; niewypłacalność do interwencyi komorniczej, a w takiem położeniu lokatorowie tracą czasem cierpliwość. Pani oto Antonina Ziemicka, zamieszkała w domu pod Nr. 38 przy ulicy Zamarstynowskiej we Lwowie, jak o tem „Gazeta Lwowska“ donosi, uniesiona zemstą, że właściciel domu sprowadził woźnego do zaaresztowania jej rzeczy, za czysz nieopłacony, wpadła do jego pomieszkania z bronią w ręku.... to jest: z garnkiem kipiącego resołu i wylała go na żonę tegoż właściciela domu p. Ewelinę Budzińską. Mężną Antoninę zaaresztowano co prawda, ale gospodyni silnie poparzona położyła się do łóżka.

* * *

Jeżeli czytelnicy chcecie zająć się hodowlą jedwabników to radzimy wam skorzystać z dobrej okazyi i udać się — listownie ma się rozumieć, do Zarządu Instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Puławach (Nowej Aleksandryi w gubernii Lubelskiej), a otrzymacie bezpłatnie pewną w tym celu ilość jajeczek jedwabników.

* * *

Pogląd na dzieje Słowian Zachodnio-Północnych między Elbą a granicami dawnej Polski, od czasu wystąpienia ich na widownię dziejową aż do utraty bytu politycznego i znamion narodowych — oto prześliczny temat podany do opracowania jako konkurs historyczny przez Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu. Autor rozprawy obowiązany jest szczególniej uwzględnić: *a)* związek etnograficzny między pomienionemi plemionami słowiańskiemi, a ludnością Polski Piastów; *b)* stan kultury tychże plemion w owej epoce, z rzutem oka na religię, zwyczaje, obyczaje, ustrój polityczny i społeczny, stan rolnictwa, przemysłu i han-

dlu, budownictwo i sztuki, jaka wówczas była w ogóle; *c*) zewnętrzny przebieg dziejowych wypadków ze szczególnem uwzględnieniem wydarzeń, które spowodowały w różnych stronach Słowiańszczyzny północno-zachodniej ostateczną katastrofę rozmaitych plemion; *d*) wreszcie stosunek między temi plemionami a Polską. Nagroda konkursowa wynosi 500 talarów pruskich.

* * *

Panna Wolicka warszawianka, otrzymała w uniwersytecie zurychskim dyplom na doktora medycyny; w ogóle w r. b. przyznano tam doktorat medycyny 20 kobietom: mianowicie 2 niemkom, 13 rosyankom, 2 angielkom, 1 amerykance i szwajcarce jednej. Ale najważniejszą do *śladów życia* wiadomością, jak ta okoliczność, iż podczas studyów.... sześć panien wyszło za mąż.

ZIEMIA PRZED POTOPEM.

(dalszy ciąg).

Epoka drugorzędowa.

Okres kredowy.

Po okresie jurasowym następuje kredowy, dla tego tak nazwany że warstwy jakie morze osadziło w tej epoce, są prawie całkiem złożone z kredy, to jest z węglanu wapna.

Nie pierwszy to raz węglan wapna wystąpił na powierzchnią naszej planety, już bowiem w okresie sylurycznym przejawiły się wapienie; w okresie wszakże kredowym wyformowały się najpotężniejsze pokłady tej soli. Znanem nam jest pochodzenie wapna, gdyż mówiliśmy o jego wytworze opisując warstwy syluryczne i dewońskie. Podaliśmy tam, że wody wrzące przesycone dwuwęglanem wapna wraz z krzemionką, wyrzucane były z głębi ziemi na jej powierzchnię. Wypada nam teraz tylko objaśnić w jaki sposób dwuwęglan wapna rozpuszczony w wodach wrzących, wytworzył warstwy ziemne.

W czasach geologicznych morze pokrywało prawie całą powierzchnię ziemi, źródła zatem wód wrzących wlewały się do oceanu. W skutek tego nasycał się on solami wapiennemi, których ilość dochodziła 2%, to jest 100 części wody obejmowały w sobie 2 części węglanu wapna. Niezliczone zwierzęta żyjące w morzach starożytnych, a w szczególności zwierzokrzewy i mięczaki korzystały z tej soli, która im posłużyła do wytworu pancerza jakim ich ciało było zaopatrzone.

W wodnym tym żywiole obfitującym w wapno żyły dziurkowce (foramifera) i polipy rozradzające się w niesłychanem mnóstwie. Owóż po śmierci tych zwierząt w skutek nastąpionego rozkładu ich zwłok, materya organiczna ciało ich stanowiąca znikała, pozostawiając materyę nieorganiczną to jest wapno, sól z której pancerz tych jestestw był wytworzonym. Te osady wapienne wyformowały warstwy znacznej grubości w głębi morza, a w końcu jego łożysko. Z biegiem czasu osady te gromadząc się na sobie coraz więcej, złożyły w rezultacie pokłady wapienne czyli kredowe. Jakto, jakto, zapyta czytelnik, a zatem skały wapienne i wapień posługujący do budowy domów i miast jest wytworem osadów starożytnego oceanu? Czyżby kreda była rzeczywiście skupieniem muszli mięczaków, czyli szczątków pancerzy dziurkowców i innych polipów? Na te pytania mikroskop stanowczo odpowiada, gdyż wykazuje postać owych szczątków pozostałych z pancerzy wapiennych. W rzeczy samej kreda rozpatrywana pod mikroskopem, przedstawia szczątki ammonitów, dziurkowców i rozmaitych muszli, jestestw tak drobiazgowych, że 150 tych tworów pomieszczonych obok siebie, nie dorównywałoby długości jednego milimetra. Zresztą w morzu Baltyckiem, wytwarza się toż samo zjawisko, łożysko jego wznosi się w skutek osadzania się w niem muszli wapiennych, jednoczących się z piaskiem i mułem. Zbliży się więc w końcu ta chwila, w której osady wapienne wyłonią się z Baltyku, i stwierdzą tem samem sposób wyformowania się geologicznych warstw kredowych.

Przejdźmy do fauny i flory okresu kredowego.

Stan roślinności w owej epoce jest jakby przedświtem flory dziś rozkrzewionej. Znaleźlibyśmy w niej gatunki tak właściwe utworowi jurasowemu jak i aluwialnemu dziś cechującemu naszę planetę. Roślinność ta mieszcząca się na granicy epoki drugorzędowej służy za przejście do epoki trzeciorzędowej, która jak niżej zobaczymy, wielu typami łączy się z dzisiejszą formacyą ziemi. Drzewa palmowe owoczesne niewiele różnią się od palm dziś rozrodzonych. W strefach zwrotnikowych obok tego przybywało wtedy coraz więcej drzew dwuliściennych, w pośród paproci i sagowców, które przedstawiały już mniej okazałe wymiary, krzewiły się drzewa dwuliścienne właściwe dzisiejszym klimatom umiarkowanym: olchy, graby, klony, orzechy włoskie i t. p.

Chociaż roślinność okresu kredowego przypominała typy obecnie pleniące się na ziemi, to przecież świat zwierzęcy przedstawiał okazy wielce różne od nam znanej fauny. Nie wystąpiły jeszcze na widownię życia szaki naszej epoki zapełniające lasy. Pierwotypy zwierząt workowatych z okresu jurasowego niekształtne i potworne znikły, a w ich miejsce jeszcze nie przejawiły się jestestwa doskonalszego ustroju. Ziemia kredowa należała po staremu do płazów, przerywających syczeniem ciszę lasów i dolin. Płazy jurasowe zbliżały się organizacyą do krokodylów, płazy zaś kredowe więcej przypominały jaszczury, posiadały dłuższe nogi, tem samem nie pełzały już po ziemi.. Owóż jedyny postęp jaki możemy zaznaczyć w ich rozwoju. Niezależnie od tego, jaszczury te przedstawiały wymiary kolosalne, długość ich ciała dochodziła niekiedy 70 stóp polskich! Dzisiejsze aluwialne jaszczurki, są niewinnemi istotami, jaszczury kredowe przeciwnie były rozbójniczemi i żarłocznemi potworami. Jaszczur morski, zwany w paleontologii *Morosaurem*, był srogim korsarzem mórz, odgrywał rolę ichtyosaura jurasowego. Ten ostatni olbrzym wraz z plesiosaurem i teleosaurem znikł z powierzchni oceanu. Mozosaurus zastąpił ich miejsce pożerając miliony ryb i skorupiaków. Zobaczymy później, że ogromne jaszczury morskie mórz kredowych wyginą a ich miejsce zastąpią w epoce trzeciorzędowej dobrze nam dziś znane wieloryby. Rozległość wód w okresie kredowym ułatwiała rozród ryb z których szczupaki, łososie i rybojeże (diodon) podobne dziś istniejącym gatunkom zapełniały morza w niezliczonym mnóstwie. Rekiny i inne żarłoczne, wystąpiły wówczas wyraziściej niż w okresie oolitowym, w którym się po raz pierwszy ukazały. Morze tym potworom dostarczało jak widzimy obfitego pożywienia. Oprócz tych tworów, polipy, niedźwiadki, skorupiaki i mięczaki odmiennej budowy od tych jakie istniały w epoce jurasowej, zamieszkiwały ocean. Obok olbrzymich jaszczurów żyły zwierzątka mikroskopowej wielkości a raczej małości, jako to dziurkowce których pancerze głównie wytworzyły kredę. Życie zwierzęce w okresie kredowym przejawia rozwój znaczący, dość nam powiedzieć, że liczymy 268 rodzajów fauny dziś nie istniejące j a 5,000 gatunków. Grubość pokładów kredy wyformowanych w ciągu tego okresu, dochodzi w niektórych miejscach 14,000 stóp.

Dzielimy okres kredowy na dwa podokresy *dolny* i *wierzchni*. W utworze pierwszego znachodzimy piaskowce i iły łupkowate szare, w formacyach drugiego białe wapienie i margle.

Podokres dolnych warstw kredy.

Liczne płazy, niektóre ptaki czaplowate z rodzaju *palaeornis*, nowe gatunki mięczaków i zwierzokrzewów, składały bogatą faunę lądową w podokresie kredowym warstw dolnych. Wypada nam przyjrzeć się bliżej głównym jej reprezentantom. W skamieniałym lesie w pobliżu Tilgate, wykryto w 1832 roku szczątki jaszczura drzewnego nazwanego *Hyleosaurem*, którego długość dochodziła 28 stóp polskich. Miał on na grzbiecie grzebień kostny twardy i ostry, podobnie jak dzisiejsze legwany. Wielkie tarcze łuskowe pokrywały prawdopodobnie jego ciało, osłaniając je jakby pancerzem.

Megalosaurus, którego szczątki napotykamy po raz pierwszy w warstwach jurasowych przejawia się niemniej w dolnych pokładach kredy. Był to ogromny jaszczur lądowy długości na 52 stóp polsk. na nizkich przysadzistych nogach. Żywił się płazami, jako to: krokodylami i żółwiami, których szczątki znachodzimy w stanie kopalnym w dolnych pokładach kredy.

Zęby Megalosaura były przedziwnie zastosowane do ich niszczących funkcyj, posiadały połączone przymioty noża, szabli i piły. Zrazu prostopadłe, zmieniały kształt wraz

z dojrzewaniem zwierzęcia, pochylały się ku tyłowi co im nadawało postać noża ogrodniczego.

Jaszczur zwany *Iguanodonem* przerastał wielkością Megalosaura; długość jego ciała dorównywała 56 stopom polskim. Kształt i układ zębów równie jak róg osadzony na nosie zbliżały to zwierzę do legwana, z tą różnicą, że długość tej ostatniej jaszczurki drzewnej nie dochodzi 3½ stóp polskich.

Iguanodon zresztą przedstawiał się wcale pokaźnie, jego kość udowa była nierównie grubszą niż u słonia choćby największego wzrostu, długość jej wynosiła 5 stóp polsk. a obwód przeszło trzydzieści cali. Ustrój kostny nóg Iguanodona wskazuje, że zwierz ten przebywał na lądach, a układ zębny udowadnia, że żywił się roślinami. Zęby w postaci piły mieściły się w podniebieniu, mocne i ostre mogły miażdżyć rośliny przedstawiające największy opór.

Przejdźmy do fauny morskiej. W morzach kredowych żyły liczne gatunki ryb, z których najosobliwszemi kształty odznaczały się: *Beryx Lewesiensis, Osmeroides Mantellii* i *Odontaspis*. Ammonity w tym podokresie przyjmują wymiary kolosalne, inne mięczaki jeżowce i zwierzokrzewy, zapełniają w wielkiej obfitości morza kredowe. Warstwy dolne tego utworu rozdzielają geologowie na dwa piętra. Z tych pierwsze składają margle i gliny przekładane ławicami wapienia szarego, drugie piętro stanowią wapienie i zielonawe ziarna krzemianu żelaza.

Podokres wierzchnich warstw kredowych.

W podokresie tym napotykamy nie mniejszy rozwój roślinności, jak w poprzednim.

Faunę lądową składają niektóre nowe gatunki płazów żyjących na pobrzeżach morza i ptaki z rodzaju słomek.

W morzach kredowych skały koralowe zajmowały znaczne przestrzenie, gdyż polipy, zwłaszcza też meszkowate dochodzą niepospolitego rozwoju. Natomiast mięczaki głowonogie schodzą na niższe szczeble w hierarchii zwierzęcej. Zdaje się, powiada Alcyd d'Orbigny, że morze cofnęło się i odsłoniło w całej pełni faunę podmorską epoki kredowej. W rzeczy samej znajdujemy olbrzymie skupienia hippurytów, otoczone polipami, jeżowcami, mięczakami, które żyły tu w towarzystwie, tworząc kolonie na podobieństwo korali wysp Antylskich i oceanu. Widocznie wszystkie te rzesze zwierzęce dla tego dotrwały przedziwnie zachowane do naszych czasów, że nagle pokryte zostały osadami, które dziś rozkładając się pod wpływem czynników atmosferycznych, wykryły nam przyrodę wieków ubiegłych, w najtajniejszych jej szczegółach.

W okresie jurasowym napotykaliśmy wyspy lub wzgórza złożone ze skupień korali i innych zwierzokrzewów, które wytworzyły tak zwane *warstwy koralowe*. Toż samo zjawisko zachodziło w morzach kredowych i wytworzyło tąż drogą formacye wapienne. Wyspy koralowe okresu jurasowego i hippurytowe okresu kredowego, mają jednakowe pochodzenie. Fauna podokresu kredowego w czasie formowania się warstw wierzchnich przedstawia następne ważniejsze rzędy i gatunki zwierzęce. Z mięczaków głowonogich *Nautilus sublaevigatus, N. Danicus, Ammonitus rusticus. Belemnitella mucronata*. Z mięczaków brzuchopełzowych czyli ślimaków: *Voluta elongata* (Zwójka), *Pchorus canaliculatus, Nerinea bisulcata, Pleurotomaria, Fleuriansa* i *Santonensis, Natica supracretacea*. Z mięczaków bezgłowych: *Trigonia scabia, Inoceramus problematicus, Clavagella cretacea, Spondylus spinosus, Ostrea vesicularis* (ostryga), *Janiva quadricostata*. Z ramionowców: *Crania Ignabergensis, Terebratula obesa hippurites Toncasiana* i *organisans, Caprina Aquilloni*. Z polipów meszkowatych: *Reticulipora obliqua*, z jeżokorów: *Anachytes ovata, Hemiaster bucardium, Cidaris Forchhammeri, Palaeocomia Fustenbergii*. Z dziurkowców: *Orbitroides media, Lituola nautiloidea, Flabellina rugosa* i wiele innych.

Z pośród licznych jestestw zapełniających w tym podokresie istniejące morza, odznaczał się budową i kolosalnym wzrostem *Mozosaurus*, owoczesny król wodnych topieli.

W 1780 r. odkryto w kopalni kamienia około Mastrychu głowę tego olbrzymiego jaszczura, pomieszczoną dziś w zbiorach historyi naturalnej w Paryżu. Szczątek ten wywołał spory między naturalistami. Jedni upatrywali w nim głowę krokodyla, inni wieloryba, dopiero Adryan Camper ze znakomitym przyrodnikiem francuzkim Cuvierem, oznaczyli prawdziwe stanowisko tego zwierza w seryi zoologicznej.

Mozosaurus był przedmiotem zatargów naukowych, o głowę jego ubiegano się, a znać była niepospolitej wartości, gdy niejednemu przyniosła fortunę, jak to zaraz usprawiedliwimy.

Oficer garnizonu francuzkiego w Mastrichu, nazwiskiem Drouin, pierwszy zwrócił uwagę na kości tego zwierza wydobyte z powyższej kopalni i płacąc za nie robotnikom górniczym, stał się w końcu właścicielem pięknej ich kollekcyi. W roku 1766 *Muzeum Brytańskie* zakupiło te szczątki, które tem samem przeszły do Londynu.

Drouin pozyskał majątek. Zachęcony jego przykładem chirurg wojskowy Hoffmann zaczął zbierać podobną kollekcyę szczątków Mozosaura, i w końcu zakupił od robotników kopalni w Mastrych przepyszną głowę tego zwierza siedm stóp długości mającą, która wzbudzała podziw przyrodników.

Hoffmann wszakże niedługo korzystał z cennego tego wykopaliska, kapituła kościoła mastrychskiego wystąpiła z prawami do jego posiadania, i głowa *wielkiego krokodyla z Mastrychu*, jak ją wówczas nazywano, przeszła do rąk dziekana nazwiskiem Goddin.

Wielebny dziekan niedługo jednak cieszył się posiadaniem osobliwości przedpotopowej, nieprzewidziany wypadek wydarł mu ten skarb szacowny.

Wypadkiem tym było bombardowane Mastrychu w 1793 roku przez Francuzów, i wzięcie tego miasta w następnym roku przez Klebera na czele armii północnej.

Armia północna nie przedsiębrała przecież wyprawy dla pozyskania czaszki jaszczura, ale po prostu w jej sztabie pozostawał uczony nazwiskiem Faujas de Saint-Fond, w charakterze *komisarza naukowego*, który zamierzył wydrzeć kapitule szczątki krokodyla przedpotopowego. Bądź co bądź Mastrych wpadł w ręce Francuzów, Faujas zażądał wydania sobie tego okazu, który też przesłanym został do muzeum historyi naturalnej w Paryżu. Faujas za powrotem do kraju wydał dzieło: *La montagne de Saint-Pierre de Maestricht* w którem opisując okazy znalezione w kopalni flamandzkiej, usiłował dowieść, że Mozosaurus był krokodylem.

Faujas nie pozyskał przecież sławy, gdyż przed nim zajmował się badaniem tych szczątków przedhistorycznych Adryan Camper, syn słynnego anatoma i wydał dzieło w którem umieścił Mozosaura między płazami jaszczurowatemi.

Cuvier w pięknej swej pracy: *Mémoire sur animal de Maestricht*, szydzi z poglądu Faujasa, i przyjmuje z małą poprawką pogląd Adryana Campera.

Długość ciała Mozosaura dochodziła 28 stóp polskich, a szczęka 3½ stóp, cechy osteologiczne wskazują, że to zwierzę przebywało w morzu.

Kręgi Mozosaura wklęsłe od przodu a wypukłe ku tyłowi, łączyły się z sobą za pomocą stawów kołowych co im nadawało wielką giętkość. Ogon tworzył grube i mocne wiosło również jak łapy, które przypominały ustrojem płetwy ichtyosaura, plesiosaura i wieloryba.

Flora lądowa z podokresu warstw wyższych kredowych, nie różni się niczem od właściwej warstwom dolnym. Florę morską stanowiły wodorosty z rodzaju zieleniey, a z rodziny roślin żabieńcowatych, trawy morskie (zostera).

Skały reprezentujące okres kredowy warstw wierzchnich, dzielimy na trzy uławicenia, *turońskie, senońskie* i *duńskie*.

Nazwa ławicy turońskiej pochodzi od prowincyi francuzkiej Touraine, gdyż w tej znachodzimy najwybitniejsze typy pokładów wierzchnich kredowych, ciągnące się od Saumur do Montrichard.

Utwór ten głównie składają kreda marglowata i biała drobnoziarnista, oraz żółtawa zapełniona blaszkami miki i muszlami amonitów. Wapienie białe, szare i błękitnawe tej formacyi, zawierają w sobie szczątki hippurytów. Drugą ławicę nazwano *senońską* dla tego, że rozpościera się najwyraziściej w okolicach miasta Sens. Pokłady kredowe w Epernay, Meudon, Vendôme, Royan, Cognac, Saintes, Mastrych, są typami piętra senońskiego. Warstwy kredy z tego utworu napotykamy nadto w Anglii, Rossyi, w Alpach i Pirenejach.

Trzecia ławica to jest duńska przejawia się głównie w Danii na wyspie Seeland. Tworzy ją wapień zbity, żółtawy, jaki posłużył do budowy miasta *Taksoe*. Oprócz mięczaków i polipów meszkowatych, wapień ten zawiera w sobie szczątki ryb, żółwi i krokodylów, a głównie kości Mozosaura, którego kartę historyczną wyżej skreśliliśmy.

Wierzchnie pokłady utworu kredowego napotykamy w okolicach Krakowa, w Skotnikach, Więckowicach, Zabieżowie, Zielonkach, Bibicach, Rudawie, w Ojcowie na górze zamkowej, a dalej między Michałowicami, skałą Minogą, Niedźwiedziem, Szczekocinami, Mie-

chowem, Buskiem, Jędrzejowem i Włoszczową. W środkowej Polsce występuje margiel kredowy około Ożarowa, Rachowa, Tarłowa, Józefowa, Solca, Opola, Janowca, Kazimierza lubelskiego, Góry Puławskiej, około Lublina, Bychawy, Zamościa, Szczebrzeszyna, Tomaszowa, aż po Lwów, Kamieniec Podolski, Chocim, Jampol i Bałtę. Obok tego napotykamy kredę na Podlasiu, w okolicach Wiłkowyszek i Słonima na Wołyniu i od bagnisk Pińskich do Konstantynowa. W Rossyi ten utwór przejawia się w gubernii Czernihowskiei, Kurskiej, Charkowskiej, Woroneżskiej w kraju Kozaków Dońskich na północy, w Krymie, na Kaukazie i w Armenii. Najwybitniej przecież właściwa formacya kredowa występuje pod Chełmem w lubelskiem, i pod Oleskiem w obwodzie złoczowskiem, niedaleko Brodów.

Europa w okresie kredowym przedstawiała obrysy całkiem odmienne od tych, jakie dziś znachodzimy. Francyę tworzył płat ziemi złożony z półwyspu wyformowanego przez Bretonię, niższą Normandyę, Maine i Wandeę, łączącego się z płaskowzgórzem środkowym Poitou. Płat ten ciągnął się od Cewennów do Ardenów i dotykał pasma gór Wogezkich. Dzisiejsza Flandrya, Pikardya, Szampania, okolice Paryża, wyższa Normandya i Touraine, zalane były morzem, ktore zresztą zajmowało całą południową Francyą. Pas utworu jurasowego łączył od północy Francyę z Anglią. Ten język ziemny jak później zobaczymy, zatopiony został następnie falami oceanu, a tem samem wyspy Wielkiej Brytanii, oddzielone zupełnie zostały od Francyi. (d. c. n.)

NIEWOLNIK.

SZKIC POWIEŚCIOWY.

(Dalszy ciąg).

Z dotychczasowemi towarzyszami swych *wolnych chwil*, Skarzycki zerwał wszelkie stosunki. Całe dnie trawił w swym pokoju wśród książek, pracując z wytrwałością i pośpiechem. Godziny mknęły mu niepostrzeżenie, dziwił go i gniewał przyspieszony bieg czasu. Domownicy z osłupieniem prawie patrzyli na niewytłómaczoną niczem przemianę młodego człowieka. Na zapytania w tym względzie i rady: *festina lente!* odpowiadał:

— Długo odpoczywałem.

Zawada często odwiedzał Karola. Wtedy dopiero ożywiał się on. Ich posiedzenia wszakże nosiły czysto naukowy charakter.

Chwilami prawdziwej rozrywki dla Starzyckiego były ranne odwiedziny w ogródku przyjaciela i wieczorne z nim przechadzki. Były to chwile pogadanek, splatanych w jedną równiankę pięknych myśli młodzieńczych, rozwijanych szeroko poglądów, żarliwych rozpraw, które kończyły się zjednoczeniem pojęć szczeblujących coraz wyżej. Czy rozmowa zeszła na pole serdecznych życiowych zwierzeń, czy zanurzała się w świat teoryj, wiadomości i umysłowych dociekań, Karol zawsze wychodził z niej orzeźwiony na duchu, podniesiony uczuciem. Otrząsł się z swych ciężących mu na sercu wątpień, z nieładu w myślach. Rozjaśniał się przed nim widnokrąg życia, po każdej rozmowie z Janem czuł się lepszym i coraz dokładniej widział ile brak mu aby doścignąć ideału, którego wcielenie znajdował w Zawadzie — coraz serdeczniej ukochanym.

Pożegnał go wreszcie na pewien czas. Jan pojechał odwiedzić dom rodzinny o parę mil zaledwie oddalony od miasta. Karol żegnał go prawie ze łzami prosząc o rychłe przybycie lub przynajmniej pisywanie listów. jeśliby jego pozostanie w mieście nie przyszło do skutku. Przy pożegnaniu Zawada uczuł że przyjaźń Karola podniosła się już do tego stopnia czułości, w którym można już nazwać ją miłością prawie. Wzruszony był naiwną prośbą jego, aby odeń pozdrowił swą rodzinę.

— Kocham ich nieznając, bo kocham ciebie, i wszystko co dla ciebie jest drogie — jest drogie dla mnie, mówił Karol przy pożegnaniu.

V.

Od moralnych i umysłowych dziejów naszego bohatera, przyjdźmy do jego związków ze światem i otoczeniem.

PP. Karpowicz dalecy krewni Skarzyckich, zastępujący dla Karola miejsce rodziców, w dość powierzchownem znajdowali się stosunku do swego wychowańca. To, w czem Karol widział niegdyś wybicie się na wolność z pod moralnego nacisku swych opiekunów, nazwać by raczej można uśpieniem ich czujności, która zresztą nigdy nie była natężoną Byli to ludzie majętni, poważnie zajęci sobą i zbyt zajęci, aby mieli troszczyć się prawdziwie kimkolwiek.

Stosunek ze Skarzyckiemi był dla nich dość pochlebny, utrzymanie go warte było pewnych ustępstw. Gdy poznali chłopca jako niesłusznie uważanego za istotę krnąbrną, przeciwnie, gdy ujrzeli go uległym, cichym, podobnym nawet nieco do ich Kostusia, zwrócili uwagę na błąd zbyt surowego ojca, i widząc zagrażające chłopcu niebezpieczeństwo w rękach pedantycznego niemca — podjęli się przyjąć go do siebie.

P. Karpowicz był właścicielem paru kamienic w mieście, członkiem honorowym paru instytucyj publicznych, miał piękne koligacye, używał opinii człowieka wielkiego rozumu, dyplomatą był przytem utalentowanym, i politykiem najpierwszym w mieście. Był człowiekiem *znakomitym* i godność swą umiał w sobie cenić. Wśród mnóstwa stosunków swych i obowiązków przywiązanych do swej godności, nie mógł być oddany drobnym sprawom domowym, a nawet nie potrzebował, bo ład jakim się człowiek poważny otacza, sam przez się już toczy się jak zegar nakręcony i nie absorbuje jego osoby, owszem służyć jej tylko powinien.

Pani Karpowiczowa harmonizowała najzgodniej z małżonkiem, i była *wielką* stosownie do udziału jaki płeć nadobna przyjmować może w wielkości. Była osobą inteligentną która żyła w *towarzystwie*, wiele czytała i na świat zapatruje się z wyższego stanowiska. Ubierała się zawsze z niezrównanym gustem, z tem subtelnem poczuciem estetycznem, które cechuje wyżej wyrobione uczucia. Ogół pojął jej wysokie stanowisko i widział w niej niewzruszoną w tym względzie powagę. Pani Karpowicz miała mnóstwo najpiękniejszych stosunków, należała do opiekunek dobroczynności — i choć bez przesadnych egzaltacyj przyjmowała współudział we wszystkich pobożnych agitacyach, poruszających koła dam lepszego towarzystwa, a w życiu powszednim — roztaczała zadziwiającą trafność w opiniach nad ludźmi, ich charakterami, stosunkami... Zdaje się że uprawiała psychologię praktyczną — a szkoda, że talentu swego nie wprowadziła na literacką niwę!

Złośliwe miejskie języki żadnego skandalu nie zdołały przyczepić do domowych spraw PP. Karpowicz, choć żyli na widowni, za to powszechna opinia jednozgodnie uznawała że wieczorki które pani Karpowicz u siebie daje, bądź w których uczestniczy — są najprzyjemniejsze i pełne najlepszego tonu, a preferansowe posiedzenia u jej małżonka, są prawdziwie klasyczne.

Jedynym owocem tego małżeństwa był Kostuś, chłopczyk wychowany jak należy, a obecnie młodzieniec jakeśmy widzieli bardzo obiecujący. Do lat trzech nieodstępowała go na krok niańka i nosiła po spacerach w eleganckim płaszczyku, od lat trzech do ośmiu czule opiekowały się nim bony, potem guwernantka i nauczyciele. Nie trzeba jednak sądzić że ważniejsze sprawy nie dozwalały rodzicom zajmować się wychowaniem ukochanego jedynaka. Matka brała go zawsze z sobą na wizyty, przy gościach jego miejsce było w salonie; ojciec kochał go niemniej, bo i któżby nie kochał tak miłego, tak roztropnego i dowcipnego dziecka?.. Rozmawiał z nim nieraz zwłaszcza przy gościach, a nawet (o piękna tkliwości wielkiego człowieka!) nieraz serdecznie się uśmiał igrając z malcem.

Gdy Kostuś doszedł do lat dziesięciu, tyle już miał rozsądku i taktu, tak dobrze był ułożony, że już prawie nie potrzebował ani przestróg, strofowań, ani napomnień. Wiedział doskonale czego się trzymać należy, tak — iż prawie jak z człowiekiem zupełnym, można było z nim postępować. Nie wiem czy którzy rodzice mogą się pochwalić wdzięczniej przeprowadzonem dziełem wychowania!

Jeśli teraz spojrzymy na Karola umieszczonego w domowem kółku Karpowiczów pojmiemy z łatwością, że nietrudno mu było pozostać tu samym sobą, że otoczenie krępujące go tylko do pewnego stopnia, nie dawało mu nic z siebie, ale natomiast było szkołą obłudy. Co obowiązuje powierzchownie tylko, jak i to co obowiązuje nieprawnie, ustala i wzmacnia pierwotne postępowanie w obowiązanym.

Karol nic wspólnego nie miał z duchem swego otoczenia. Kolegą swym kuzynkiem Kostusiem pogardzał skrycie, (może właśnie dla podobieństwa jakie ich łączyło na polu obłudy), choć pozornie dobre stosunki z nim utrzymywał. Ze stryjenką, jak nazywał panią

Karpowicz był etykietalny i grzeczny, do stryja zbliżał się z szacunkiem i przed jego opiniami pochylał głowę — o ile mógł starał się jak najmniej zaprzątać ich sobą. Z biedą utrzymywał dobre ich o sobie mniemanie.

Zdarzało się niekiedy że głucha wieść zła o Karolu dochodziła do wysokości pp. Karpowicz. Wtedy stryj wierzący w potęgę przemówień, uroczystą palił mówkę pupilowi swemu, stawiał za wzór siebie, syna swego i innych wielkich mężów i — mówka skutkowała na czas jakiś — utrwalając spokój w sercu opiekunów. Wszelako ku końcowi stosunek wzajemny naprężył się już znacznie i pp. Karpowicz zaczęli myśleć o pozbyciu się nadal kuzynka, który jak się zdaje na złe drogi może wprowadzać ich syna. A rodzice Karola? Ci chyba już żadnego wpływu nie wywierali na niego. Ojciec przy każdem widzeniu syna i pobycie jego w domu widział, że chłopiec a dnie wyrasta, że się rozruszał, ośmielił złych opinij o nim nie odbierał.... Źle się uczy? — Ha to już los wszystkich Skarzyckich, uczonym nie będzie! Koniec końców, ojciec był z syna prawie zadowolonym, o ile można było wnioskować z dalekich jak zawsze stosunków ich do siebie, a przynajmniej kontent był, że kłopotu z nim nie ma. Matka bezsilnie patrzała na oziębłość wiary Karola.... czuła że nie przyszła jeszcze nań chwila łaski, przyspieszyć jej nie mogła. Dla niej on już był stracony. Unikał jej — gdy pragnęła przemówić doń by go pozyskać dla nieba, na jej listy natchnione odpowiadał tak zimno, tak nieszczerze... Cóż więcej słaba matka mogła uczynić dla zbłąkanego?

Stryj Bonek za stary już był na dobrego koleżkę, p. Eglantyna utrzymywała że Karol zaczyna się wyrabiać na bardzo ładnego chłopca — Iza... Izy tak jakby nie było.

Przy takim stanie rzeczy, nagły przewrót w trybie życia Karola z jednej strony, niespodziane wyznania spadłe z jego listem z drugiej, wywołały silne zainteresowanie się nim opiekunów i zaburzenie w opiniach rodziców Stało się coś, czego niepodobna było przewidzieć i wytłómaczyć sobie żadną miarą.

PP. Karpowicz jeszcze z biedą objaśniali sobie pocieszający zwrot Karola ku pracy poskutkowaniem rozumnych rad i przykładem ich syna. Ale ojciec po odebraniu listu i dwukrotnem odczytaniu go — nic nie zrozumiał na razie prócz odkrytej tajemnicy, że synek już umie finansowym operacyom poddawać ojcowską kieszeń.

— Egzaltacye! romanse! wołał wzburzony, przyzwawszy na pomoc Bonka, a suma sumarum: — „Ojcze zapłać długi, już nigdy nie będę.“ A łotr, jak się umiał ułożyć! Zresztą czytaj, ja nic nie rozumiem. Jakim to on językiem przemawia?

Bonek przeczytał, obejrzał list do okoła.

— No i cóż ty na to?

— On prawdę pisze. Chłopiec jest entuzyastą, on zawsze skłonność do tego okazywał. Zdaje się że na dobrej jest drodze — ale...

— Ale co?

— Są to piękne, młodociane mrzonki.

— Otóż to! Powiedz jak ci się zdaje, co robić? Ja myślę że do diabła rzucić te wszystkie mądrości, szkoły i chłopca ściągnąć do domu! We łbie mu się przewróci tylko do reszty. Patrz... tu już coś, jakby wyrzuty nam robił! Jakieś wzniosłe cele życia — jakieś święte dążenia!.. waryacya po prostu!

— Może by to nie źle było ściągnąć go do domu i zająć czem innem — ale czy on zechce? Przymuszać nie można, on już nie dzieciak.... Trzeba spróbować. Nie dać mu możności robienia długów, zmyć głowę za dotychczasowe głupstwa, których on zresztą już sam się wstydzi i patrzeć co dalej będzie... A tylko powoli zbliżać go do siebie — ściągać do domu — bo ta droga może go doprowadzić...

— Do domu waryatów!

— Do zwichnięcia karyery. Trzeba ci jechać i zbadać bliżej tę sprawę, ale żonie nic nie mów o tem i listu nie pokazuj! Jak najchłodniej i jak najłagodniej trzeba tę sprawę traktować.

Karol oczekiwał katastrofy. Oczekiwał na nią z niepokojem, choć uzbrajał się w siłę i pokorę. Jakaż była jego radość i rozrzewnienie, gdy sprawa jego najpomyślniejszy przybrała kierunek. Oczekiwał na upokorzenie, na surowe wyrzuty, na niewiarę — znalazł ojca daleko pobłażliwszym niż się spodziewał, dobrze usposobionym opinią pp. Karpowicz, a wreszcie choć z pewnym oporem uzyskał aprobatę pozostania na wakacye w mieście, celem przygotowania się do powakacyjnego egzaminu.

Cała ta spodziewana katastrofa zbliżyła tylko Karola do ojca w którym odkrył serdeczniejszą stronę i wcieliła go żywotniej w rzeczywistszy związek ze swymi opiekunami.

— „Doprawdy że jestem jak ów Karolek w powiastce jakiejś dziecinnej, ów Karolek obsypany szczęściem w nagrodę za jakiś dobry czyn bagatelny, pisał w liście do Zawady. Pracuję wciąż i odczuwam całą rozkosz życia pracy, w zgodzie z sobą. Pojmuję co to jest władać świadomie każdą swą myślą i sprawą, co to jest być wolnym. Przybywaj, bo ciebie tylko mi brak, najukochańszego brata.“ W bocznym dopisku listu była jeszcze jedna wiadomość. „Idąc za radą stryjenki którą w tym razie uważam za słuszną, rozpocząłem naukę języka francuzkiego zaniechaną od dawna. Władanie obcym językiem jest rzeczą bardzo pożyteczną.“

* * *

We dwa tygodnie po swym wyjeździe Zawada powrócił do miasta. Przybywszy do Karola nie zastał go jak zwykle w mieszkaniu. Po chwili dopiero Skarzycki wybiegł z dalszych pokojów pp. Karpowicz. Z radością rzucił mu się na szyję i po zamianie pierwszych powitań, rzekł z żywością zakłopotany nieco:

— Daj mi słowo że się nie obrazisz! Zaczekaj na mnie mój najdroższy, kwadransik czasu tylko. Widzisz, kończę właśnie lekcyę francuzką.

— Ale z chęcią zaczekam choćby dłużej. Przejrzę tymczasem twoje roboty...

— Albo, wiesz co, zapoznam cię ze stryjostwem. Chodź, stryjenka jest sama z jakąś starą jejmością; niezła to w gruncie kobieta ta moja stryjenka, pragnie cię poznać. Chodź, niech się pochwalę tobą

— Czy myślisz że jestem salonowcem! zawołał Zawada. Nie ubrany zresztą jestem.

Karol pociągnął go z sobą.

— Zobaczysz jeszcze mego nauczyciela, szepnął mu z uśmiechem. Przyznasz że uczeń najleniwszy nawet, pilnym musi być przy takim nauczycielu.

Nie wiedząc o tem, Karol wielką krzywdę wyrządził swemu przyjacielowi, wprowadzając go tak nagle do saloniku pani Karpowicz. Słabą stroną Zawady był brak salonowej umiejętności. Wiadomo ile tracą najzacniejsi i najbardziej wykształceni ludzie, gdy ich się wprowadzi w obcą dla nich sferę woskowanych posadzek. Pół godziny spędzone na aksamitnym taburecie w rozmowie z dystyngowaną kuzyną Karola, wiekiem się wydało Zawadzie. Mimo całej pewności siebie, czuł że coraz chybiał właściwego *sposobu bycia*. Szczęściem przy końcu poparł go mąż tej damy i na bardziej pozytywną drogę wprowadził rozmowę.

— No jakże, jakże ci się wydali moi kuzynostwo, pytał Karol gdy z Janem znalazł się sam w swoim pokoju.

— Przyznam ci się że nie mam miary w ocenieniu tych ludzi, rzekł Zawada markotny nieco chłodząc w otwartem oknie swą twarz zarumienioną jeszcze, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia swej niezgrabności równie jak protekcyonalnego traktowania ze strony pp. Karpowicz.

Karol ożywiony, zdawał się nie dostrzegać niezadowolenia przyjaciela.

— A cóż powiesz o pani kapitanowej? Co? Pojmujesz że przy takim nauczycielu postępy muszą być szybkie i ogromne.

Zawada uśmiechnął się z przymusem.

— O nie uważaj-że wyrazu „postępy“ w fałszywem znaczeniu. Pani kapitanowa jest osobą zbyt poważną, a mnie nie poniżaj znów podejrzeniem o jakieś nierozsądne myśli, z powagą wyrzekł Karol. Ale przyznaj, że towarzystwo tak miłej, a do tego wykształconej kobiety ma w sobie coś — coś już nie powiem, przyjemnego, ale uszlachetniającego... Postępy rzeczywiście robię ogromne w nauce.

— Widzę że gorliwie zajmujesz się nauką języka — potwierdził Zawada. Spostrzegam tu mnóstwo wypracowań, ćwiczeń, dodał ukazując na stolik Karola.

— A widzisz! ale nie myśl że zaniedbuję naukę właściwą. Patrz com przeszedł z matematyki, ilem Liwiusza przestudyował, ile tu wypracowań łacińskich! Z historyi...

— Przejdźmy się trochę, przerwał Zawada, albo chodź do mnie.

Skarzycki chętnie zgodził się na to i zszedłszy ze schodów skierował się wraz z nim do jego mieszkania.

— Powiedz mi kto to jest ta p. kapitanowa, zapytał Jan po chwili.

— A jakie na tobie zrobiła wrażenie.

— Wrażenie wielkiej damy.

— Rzeczywiście jest to kobieta z „pięknej familii“ wyrzekł z lekką ironią Karol. Z miłości wyszła za niejakiego kapitana wojsk austryackich, jak się okazało wielkiego birbanta. Przecierpiała wiele w pożyciu z nim. Kapitan ten straciwszy swój i jej majątek, narobiwszy mnóstwo długów zastrzelił się wreszcie podo-

bno, a żonę zostawił bez sposobu do życia. Jakiś czas bawiła ona przy krewnych we Lwowie i w Wiedniu, aż wreszcie unikając (jak się domyślam) przed sprzecznemi z jej przekonaniem związkami, przybyła do kraju i niedawno osiadła w ciszy naszego miasta. Tu ma ona parę dawniejszych przyjaciołek a między innemi moję kuzynę i zajmuje się udzielaniem lekcyj. Podobno starać się ma o założenie pensyjki.

Pani kapitanowa jak ją tu nazywają, czyli pani Leokadya von Taunitz jest kobietą nadzwyczaj rozsądną, wykształconą, pełną charakteru i godności, a skromną jakby nigdy nie była kobietą światową. Przytem piękna jest jeszcze choć już nie pierwszej młodości. Piękność ta budzi dla niej szacunek tylko; jej wdzięk podwyższa tylko jej godność...

— Zdaje mi się że ta pani von Taunitz i jej przymioty za wiele cię zajmują.

Karol czuł się urażonym tą uwagą przyjaciela.

— Nie spodziewałem się że jesteś jakimś purytanem, że tak mało znasz mię i możesz podejrzywać...

— Nie podejrzywam wcale, tylko powiadam że ta nauka wcale ci niepotrzebna, a raczej nauczycielka.

— Doprawdy że dziwaczysz. Dla czego?

— Dla tego że na *ciebie* może źle oddziałać.

— Za kogóż mię masz? Czy sądzisz że mam za mało świadomości siebie? Otóż będę miał pole okazać ci że masz zbyt niskie o mnie wyobrażenie. A to dobre. Ty uważasz mię za dziecko które niedość że wie czego się ma trzymać, jeszcze mu trzeba usunąć możność zboczenia.

— Jeżeli by próba była za ciężka...

— Ach jak ty mię nie znasz kochany Janie! zawołał Skarzycki porywczo. Więc powiedz? Czy wymagasz odemnie abym porzucił te lekcye?

— Nie mogę nic ci narzucać, powinieneś czuć się panem swej woli.

— A więc postanawiam z całą świadomością badać każde poruszenie swego uczucia i myśli w tym względzie, tobie najsumienniej wyznawać zaczynam zaraz. Owóż słuchaj. Pani kapitanowa czyni dla mnie naukę francuzczyzny rzeczą stokroć powabniejszą niżby ją czynił jaki dajmy na to śmieszny, stary guwerner francuz. Z przyjemnością myślę o zbliżeniu się godzinki posiedzenia z nią i staram się aby jak najkorzystniej przedstawić jej swój umysł, swą pojętność. Pani kapitanowa ma głos nadzwyczaj dźwięczny i sympatyczny, wzrok łagodny, smętny niekiedy, jej zachowanie się całe wzbudza we mnie szacunek. Rozmawiamy niekiedy o rzeczach mających związek z językiem francuzkim w tym języku. P. kapitanowa ma mnóstwo wiadomości, bawiła jakiś czas we Francyi, rozmowa z nią jest bardzo zajmująca. Niekiedy czuję żywsze nieco uczucie, źle mówię, bo tu na wysłowieniu się myśl polega. Czuję że ona jest kobietą młodą jeszcze i powabną a jednocześnie myślę że musiała przejść dosyć cierpień w życiu, mimo to najswobodniej w świecie zajmuje się przedmiotem o którym mówimy. Wiem o tem że nie obyty z towarzystwem kobiet silniejsze odbieram wrażenie ze strony mej nauczycielki, ale wrażenie to zostaje wrażeniem które z łatwością panuję, i usuwam poważnym szacunkiem jaki mam dla jej osoby. Nie potrzebuję tu nawet używać swej siły woli...

Nie, ja dziwię się nawet jak ty możesz przypuszczać myśl jakąś podejrzliwą! zawołał Skarzycki wesoło. Cóż to, czy jestem szesnastoletnią panienką pod okiem czułej mamy, a ona wytrawnym Lowelasem? Doprawdy radbym nawet widzieć tu jakie niebezpieczeństwo, aby ci okazać że jestem człowiekiem.

— Wierzę ci mój drogi, odparł Zawada z uśmiechem, ale trzymam cię za słowo, sprawozdania musisz mi zdawać wierne ze wszystkich zmian jakie poczułbyś w sobie. Będzie to praktyczny kurs badania samego siebie. Nie przesądzajmy aż zobaczymy.

— Jak to dobrze żeś się już wreszcie rozpogodził, wyrzekł Karol z uczuciem ściskając rękę kolegi. Było mi tak przykro, jakbym rzeczywiście zawinił co przeciw tobie. Przyznaj że źle cię usposobiła niespodziewana wizyta u Karpowiczów? Prawda?

— Bardziej, pozorna zmiana w tobie. Zdawało mi się żeś już mniej szczery.

— A to tymczasem znaczy żem już mniej odosobniony a ustalony bardziej na mojej nowej drodze. Żyję z pewną przyjemnością w mem otoczeniu, płaskość pojęć jego nie oburza mię, czuję pobłażliwość dla ich małostek, a pomimo to zespalając się niejako z ich życiem, nadaję życiu swemu pewną barwę, rozmaitość. Mimo to swobodniej jeszcze żyję w sobie, myślę i pracuję trzeźwiej, pogodniej. Pragnąłbym tylko żebyś ty był zawsze przy mnie, a tu — ot masz tobie! Za jakie pół godziny muszę być w domu, czeka mię zbiorowa wycieczka za miasto, coś w rodzaju majówki. Będzie tam i owa niebezpieczna pani von Taunitz! Rozśmiał się Karol wesoło. Będzie kilka ładnych panienek między innemi śliczna Kamilka W. Wiesz co mój drogi! Chodź ze mną! Zabawisz się doskonale, ręczę ci, a zarazem bliżej poznasz tę *straszną* kapitanowę. Chodź Janie jeżeli mię kochasz!

— Ależ co za myśl, zastanów że się! ja tam nie znam nikogo, to nie mój świat, a zresztą muszę swój ogródek zobaczyć, bo prosto z bryczki do ciebie przyszedłem.

W słowach Zawady nie było tonu wymówki, lecz Karol poczuł w sercu cichy głos wyrzutu, posmutniał nagle i żywo zawołał:

— Nie pójdę! Przepędzę czas w twoim ogrodzie — w twej celce. Niech ich tam — razem z ich zabawami i towarzystwem ckliwem. Mam tyle przedmiotów do pogadanki, będziemy czytać, rozmawiać, parę zadań algebraicznych. Nie chcę czasu tracić naprożno, wymówię się, nie pójdę.

— Jeśli obiecałeś idź, odparł Zawada spokojnie. Przyjdź do mnie wieczorem jeżeli będziesz mógł, ja będę ciągle w domu.

Rzeczywiście wieczorem i to dość późno Karol zastukał do drzwi przyjaciela.

— Przecież, zawołał Zawada otwierając mu drzwi, myślałem że już nie przyjdziesz.

Karol wbiegł szybko, w gorączkowym nastroju, uścisnął Jana i rzucił się na krzesło. Znać było że biegł szybko, w jego poruszeniach nie było tego spokoju z jakim Zawada wstał od książki aby mu drzwi otworzyć.

— Ha! rozstrzygnął się dramat, zawołał śmiechem pokrywając wzruszenie.

— Jaki dramat?

— Mógł być dramat albo przynajmniej powieść, tymczasem z tego wszystkiego zrobiłem oderwany epizod, który ci zaraz opowiem.

— Jak widziałeś niechętnie udałem się na ten spacer nie w porę; w sarkastycznem znajdowałem się w usposobieniu, bom sobie wyrzucał obojętność dla ciebie. Towarzystwo było liczne i wesołe. Podróż była komiczna z przyczyny braku miejsca w ekwipażach. Panie obawiały się, chichotały panienki, młodzież popisywała się z dowcipem. Nie będę się rozszerzał, dość że porwany pustactwem ogólnem rozruszałem się wreszcie zupełnie i nie pozostałem na stronie ogólnej zabawy.

— Bardzo dobrześ zrobił, ale gdzież tu dramat? wtrącił Karol.

— Poczekaj. Rozstrzygnęło się to o coś się obawiał, a rozstrzygnęło się prędzej niż sądziłeś. Towarzystwo bawiło się wybornie, wkrótce rozprzestrzeniły się więzy konwenansu. Panienki wysznurowane w salonie, pod otwartem niebem pośród swobodnej natury nabrały prostoty leśnych ptasząt. Starzy rozigrali się nawet cóż dopiero młodzi. Palimy ogniska cygańskie, śpiewy, żarty, tańce wkrótce się rozpoczęły przy dźwięku skrzypki pożyczonej od pastuszka. Przywiezione przysmaki i wino podsycają jeszcze wesołość ogólną. Po za obrębem jej znajdowała się tylko p. kapitanowa. Narzekała że jest cierpiącą trochę i z pewnym przymusem, z melancholią przyjmowała o tyle tylko udział w zabawie aby jej nie zatruwać. Żal mi jej się zrobiło, zdawało mi się że ja jeden tylko rozumiem stan jej. Starałem się, nie obrażając jej tęsknego usposobienia zbliżyć się do niej ze współczuciem.

Uśmiechała się z dobrocią patrząc na moję wesołość. Zdawała się mówić: „bawcie się dzieci“ a każde moje słowo zwrócone do niej odpłacała mi pełnem wdzięczności spojrzeniem.

— To nie mój świat *mon petit fils*, rzekła mi z gorzkim uśmiechem, gdym ją pytał o przyczynę smutku, wesołość moja jest przymusem tylko. Gdy wy się bawicie swobodnie i ja także korzystam ze swobody aby być taką jaką jestem rzeczywiście.

— Nic i nikogo nie mam na świecie, mówiła później, patrzę na świat bez złudzeń, bez pociech i nadziei. Cóż to posmutniałeś pan, to źle. Nie trzeba na mnie zwracać uwagi. Idź baw się *synku*. Cóż wspólnego ma wiosna z jesienią?..

Siedziała w cieniu owinięta w swój szal czarny i wpatrywała się w ogień. Jej duże czarne błyszczące z pod długiej rzęsy oczy spotykały się często z moim wzrokiem. Mrok już zapadł. Przy ogniskach bawiono się coraz żywiej, ale ja tylko powierzchownie przyjmowałem udział w zabawie. Byłem przy niej gdy nadarzała się sposobność, a myślą ciągle...

— Idź pan, zwracają na nas uwagę, przecież to nie lekcya francuzkiego, szepnęła mi gdym ze drżeniem wziął ją za rękę, ale spojrzenie jej miało w sobie taki wyraz niewy

mowny, że mi się całkiem zawróciło w głowie. Roztargniony byłem tak że posądzano mię o przebranie miary w libacyi. Wkrótce Leontyna z dziwnym zapałem przyłączyła się do zabawy. Zdawała się nie zwracać na mnie najmniejszej uwagi. Ktoś z poważniejszych wiekiem panów przypisywał sobie chwałę wciągnięcia ją w ożywione koło wesołości. Śliczną mi się teraz wydała, ale jakieś dziwne miotało mną uczucie, chwilami zdawało mi się że ją nienawidzę, to znów chwytałem z wdzięcznością jej każdą najmniejszą dla mnie łaskawość...

— I nie myślałeś zupełnie o naszej ostatniej rozmowie, wtrącił Zawada, nie odwracając oczu od światła lampki, w które wpatrywał się przez cały czas opowiadania.

— Owszem, myślałem, i przez to byłem bardziej jeszcze wzburzony, niezadowolony z siebie... Chwilami pragnąłem powiedzieć jej jaką impertynencyę wbrew temu urokowi jaki mię dla niej porywał i odejść do ciebie. Zabrano się do powrotu. Ona pomieściła się wraz ze stryjenką w przepełnionym powoziku. Stałem na stopniu tuż przy niej, rozmawiała ze mną, śmiała się, zapytywała: skąd pochodzi ta jej wesołość? Droga po której jechaliśmy była fatalna. Leontyna obawiała się, podskoki powozu rozmaite figle wypłatały nam, nieraz musiała się opierać na mnie aby nie stracić równowagi. Woalka jej kapelusza, jej włosy bujne muskały twarz moję, znajdowałem się w atmosferze zapachu jej sukni. Ale co będę ci opisywał, wszystkie te drobne czary. Gdyśmy wchodzili do mieszkania z całem towarzystwem, prowadziłem ją przez ciemny korytarz i schody. Tu, przyciągnąłem do ust jej drobną rączkę, pochyliłem się — ona do piersi swych przycisnęła moją rękę i nie wiem jak się to stało, przy twarzy jej moja twarz się znalazła... Odsunęła mię od siebie gwałtownie. Ukazało się światło, a ja z szumem w głowie, szalonym łoskotem w piersiach schroniłem się do swego pokoju. Pojmujesz stan w jakim się znajdowałem. Nie jestem niewiniątkiem, wiem co jest szał prostej namiętności, tu było coś więcej. Czy też była to namiętność spotęgowana uczuciem jakiejś czci, jakiegoś świętokradztwa...

Zawada rozśmiał się głośno, choć zprzymusem.

— Szaleńcze, zawołał, dzieciaku! Gdzież tu cześć, gdzież tu świętości.

— Poczekaj! niedokończyłem, przerwał Karol gwałtownie z tryumfem w postawie. Przychodzę powiedzieć ci, że już wszystko skończone. Tak, żadnych następstw! Leciałem na łeb na szyję po fałszywej drodze. Buch! I podnoszę się cały, rzeźwy i oglądam się na siebie, jakim byłem przed godziną, jak na ostatniego głupca. Jedna myśl trzeźwa wystarczyła mi do opamiętania się. Jeszcze wzruszony porwałem za czapkę aby biegnąć do ciebie, na wyjściu słyszałem jej srebrzysty głos w salonie. Przez drogę doszedłem do przekonania jasnego, że pani kapitanowa jest tylko zalotnicą i przychodzę powiedzieć ci, że od jutra porzucam tę znakomitą naukę (wymyślę jaki powód). Jestem przy tobie mój drogi Janku. Jesteśmy razem, będziemy szli razem zawołał rzucając się na szyję Zawadzie. Już żadne głupstwo nie będzie nas oddzielać nigdy.

Zawada był ucieszony.

— Masz widzę prochową siłę rzutu. Ale jak mogłeś przez cały ten czas dojść do stanu...

— Cicho, przecież wyspowiadałem się już, rozgrzeszyłeś ale oszczędź nauki. Ja wiem wszystko co chciałbyś powiedzieć. Przecież początkującym dopiero jestem!... śmiejąc się serdecznie wołał Karol. Słuchaj! pomyśl coby powiedziała owa dramatyczna, tęskna kapitanowa, widząc mnie teraz i słysząc naszę rozmowę?

— Rozśmiałaby się pewnie także i powiedziała: „oszukałam się,“ Ha trudno *errare humanum est...*

Reszta wieczoru zeszła kolegom na wesołej rozmowie.

— Nie pokpijże znów sprawy Karolu, rzekł Zawada żartem, żegnając przyjaciela.

— Cóż to, niedowierzasz mi!

— No, przyznaj przecie, że na ciebie przysięgać nie można. Przynajmniej kapitanowa...

— O zawiedzie się w zupełności, a co do ciebie to przekonasz się niedowiarku. Do jutra.

VI.

Dłużej nad parę dni Zawada nie mógł pozostawać w mieście. Karol widział, że dla niego tylko przybył tu, to też wyłącznie z nim tylko przepędzał czas przesiadując po całych dniach w jego mieszkaniu.

Pomimo całą siłę wpływu jaki ten młodzieniec wywierał na Karola, charakter jego nie dość wybitnie maluje się w naszej opowieści. Nie był też to człowiek orlich pozorów, niezdolny podziałać na wyobraźnię; był jednym z tych charakterów, których piękność i dzielność kryje się w bardzo zwyczajnej formie. Nie błyszczał on żadnym blaskiem zewnętrznym, dowcipu nie miał, ani postaci wyróżniającej się. Wybitną cechą jego istotnej wyższości była tylko zupełna prostota postępowania i niezależność oparta na prawdziwych bogatych zasobach charakteru i umysłu.

Sympatya, która go łączyła z Skarzyckim była może skutkiem zasadniczej różnicy ich usposobień, a bardziej pociągiem jaki uczuwa szlachetnie silny człowiek do słabego. Sympatya ta była jasnym dowodem podniosłości umysłu Zawady i pięknych przymiotów serca, natura jej jednak zdawała poczynać się i kończyć w sferze idealnej. W życiu dzieliło ich wszystko. Światowe ich stosunki nie schodziły się z sobą. W praktyce życia ci dwaj ludzie zejść się łatwo nie mogli.

Za to wewnętrzny ich związek, zamiana myśli i przestawanie z sobą jak z jednej tak z drugiej strony przedstawiało się wzorem najczystszej przyjaźni. Serdeczność zobopólna i wylanie szczere zagładzało ich nierówności towarzyskie i różnice w duchowym rozwoju i charakterze. d. c. n.

JÓZEF HAYDN.

ŻYCIORYS I CHARAKTERYSTYKA.

napisał

DR. HENRYK DÖRING.

przełożył z niemieckiego

H. B.

(dalszy ciąg).

W roku 1790-tym, w życiu Haydna zaszła ważna zmiana. W dniu 28 września tegoż roku umarł jego protektor i przyjaciel, książ Mikołaj Esterhazy. Stosownie do testamentu tegoż, Haydn odtąd miał pobierać aż do śmierci roczną emeryturę w ilości 1000 złotych reńskich. Syn zmarłego, książę Antoni Esterhazy, nie będąc miłośnikiem muzyki, zwinął orkiestrę.

Tak więc Haydn musiał rozstać się z instytucyą, dla której napisał był znaczną część najcelniejszych dzieł swoich. Tu one były wykonywane pod jego kierunkiem, tu następowało natychmiastowe uzmysłowienie utworów jego ducha, i zbliżanie ich o ile można w wykończeniu, do ideału. Tu cieszyły się one uznaniem. Tych rozkoszy musiał się Haydn teraz wyrzec. Ale pomimo to nie ostygł on w zapale komponowania. Pozostał mu wprawdzie tytuł kapelmistrza księcia Esterhazego, ale to nie było niczem wporównaniu z tem co był stracił. Okoliczności jednak przez które chwilowo skazanym był na bezczynność pokierowały się szczęśliwie, Haydn z kompozytora dla orkiestry księcia Esterhazego, stał się kompozytorem dla całej Europy.

Najgłówniej na to wpłynął Jan Piotr Salomon dzielny artysta, który poprzednio był nadwornym skrzypkiem księcia Henryka Pruskiego, zaś od kilku już lat przemieszkiwał w Londynie, gdzie miał posadę w teatrze „Haymarket.“ Salomon po kilkakrotnie już pisał był z Londynu do Haydna, wzywając go aby zechciał odbyć podróż do Anglii. Haydn jednak nie mógł się zdecydować i zawsze wymawiał się, że dopóki żyje książę Esterhazy, nie podobna mu jest go opuścić.

W roku 1790 Salomon, podczas podróży jaką odbywał do Włoch celem zaangażowania śpiewaków dla teatru Haymarket, dowiedział się był o śmierci księcia Mikołaja Esterhazy, i natychmiast pośpieszył do Wiednia. Już było późno wieczorem gdy Salomon wszedł do pokoju Haydna i pierwsze słowa jakie wyrzekł były: „Przygotuj się pan do podróży, za dwa tygodnie razem wyjedziemy do Londynu!“

Haydn zrazu żadną miarą nie chciał przystać na tę niespodziewaną propozycyą, wymawiając się nieznajomością angielskiego języka, oraz swojem niedoświadczeniem w podróżowaniu. Jego przyjaciele także radzili mu aby nigdy nie opuszczał Wiednia i zarazem zwracali jego uwagę na ujemne strony dalekie podróży, która, zwłaszcza dla człowieka w podeszłym już wieku będącego, (Haydn miał już przeszło lat sześćdziesiąt) z licznemi połączona jest trudnościami. Mozart najusil-

niej starał się zatrzymać go w Wiedniu. „Papo! tak zwykł on był nazywać Haydna, wyście już nie dla wielkiego świata i za mało władacie obcemi językami! Zostańcie!“

Ale wszelkie te odradzania na nic się nie przydały i Haydn postanowił pojechać.

Dom który mu podarował był (w Eisenstadt) książę Mikołaj Esterhazy, został sprzedany za 1,500 florenów; gotówki zaś Haydn miał 500 florenów.

Takim to był jego majątek po tylu latach pracy; słusznie więc w żarcie nazywał on sam siebie „biedakiem“ (armer Teufel).

Całem dążeniem Haydna było posiadać kapitalik, którymby dowolnie mógł dysponować celem wspierania swoich krewnych i zostawienia im czegoś po śmierci. Młodszy Esterhazy, dołączył do legatu ojca swego jeszcze rocznego dodatku 400 florenów, tak, że z tego źródła dochód Haydna wynosił 1,400 florenów na rok; ale to nie było wystarczającem.

Zawarcie korzystnego kontraktu z Salomonem przeto, przyszło bardzo w porę. I stanęło na tem, że Haydn za każdą nową operę otrzyma 300 funtów szterlingów, a za dyrygowanie każdej nowej kompozycyi w dwudziestu koncertach po 10 funtów.

Dla pewności wypłat, Salomon zdeponował w banku Fries i spółka w Wiedniu summę 5,000 florenów.

Po takich krokach wstępnych, Haydn opatrzony listami rekomendacyjnemi, wyjechał razem z Salomonem z Wiednia 15 grudnia 1790 roku. Mozart w dniu tym ani krok nie odstępował swego starego przyjaciela, jedli oni razem obiad i w chwili pożegnania Mozart rzekł do Haydna:

— Zapewne to już po raz ostatni żegnamy się z sobą!

Obadwaj byli mocno wzruszeni.

Haydn ściągał te słowa Mozarta do siebie; nie przeczuwając wcale, że nieubłagana parka już w następnym roku miała przeciąć nić żywota jego genialnego przyjaciela.

VI.

Podczas swej podróży do Anglii, Haydn zrobił w Monachium znajomość ze sławnym skrzypkiem Cannabichem.

W Bonn, ówczesnej rezydencyi kurfirsta Maksymiliana doznał on bardzo uprzejmego przyjęcia. Jego towarzysz zaprowadził go tu do nadwornej kaplicy na mszę; zaledwie przestąpili byli próg, gdy Haydn po pierwszych zaraz akordach poznał swe dzieło. Sądził on, że to wypadek tak zrządził, ale gdy go po skończonej mszy poproszono do oratorium, zastał tamże elektora, który był sprawcą tej niespodzianki. Elektor przedstawił go swej orkiestrze, jako jednego z sławniejszych kompozytorów i zaprosił go do siebie na obiad. Ale Haydn tegoż dnia z Salomonem zaprosili już byli do siebie małe grono muzyków i było już za późno uprzedzić gości;—zakłopotanie więc Haydna było wielkiem, gdy przyszło odmówić elektorowi. Tenże jednak wcale się tem nie obraził, owszem z nadzwyczajną łaskawością przyjął usprawiedliwienie. Gdy nasi podróżni przyszli do domu, zastali tu zamiast zamówionego skromnego obiadu, dwanaście bogatych nakryć. Stało się to z rozporządzenia elektora, który zaprosił do mieszkania Haydna kilku z lepszych artystów swej kapeli.

W Bonn, Haydn poznał młodego genialnego nadwornego organistę Ludwika von Beethoven, który potem stał się jednym z jego najlepszych uczniów.

Po swem przybyciu do Londynu, Haydn przez czas niejaki mieszkał u swego przyjaciela Salomona, potem jednak dla usunięcia się od ciągłych wizyt, wynajął dla siebie skromny lokal na jednem z odleglejszych przedmieści.

Opera serio: *Orfeo e Euridice* była jego pierwszym utworem pod niebem Anglii.

Przez swoje uprzejme obejście, Haydn w krótkim czasie umiał sobie zjednać członków całej orkiestry. Zaraz w początku było takie zdarzenie. Odbywano próbę symfonii, która zaczynała się krótkiem adagio, zaś za wstęp do tegoż służyły trzy jednakowo brzmiące tony. Wzięto je zamocno. Haydn dał znak aby się zatrzymano i za pośrednictwem Salomona, objawił swe zdanie. Jeszcze raz tedy zagrano owe trzy nuty, ale znowu nie dobrze. Na nowo trzeba było stanąć, i gdy Haydn usłyszał, że blizko niego rozmawiają po niemiecku, zwrócił się w tę stronę i rzekł: „Upraszam panów o drobnostkę, która w zupełności od was zależy. Mocno żałuję, że nie mogę wypowiedzieć tego, o co mi idzie, po angielsku i dla tego niech mi wolno będzie na jednym z instrumentów wyrazić myśl moję.“ Wziąwszy tedy skrzypce zagrał kilka razy owe trzy tony, i cała orkiestra odrazu go pojęła.

I tak było ciągle. Wszelkie swe uwagi jako dyrektor orkiestry wyrażał on w formie życzenia lub prożby; bywał też niewyczerpanym w pochwałach, tam, gdzie takowe rzeczywiście się należały, i często zapraszał do siebie na obiady celniejszych wirtuozów orkiestry, aby ich zniewolić do chętniejszego bywania w jego domu, dla odbywania prób prywatnych. Tam zaś, gdzie trzeba było objawić swe niezadowolenie lub udzielić naganę, Haydn nie przekraczał nigdy granicy delikatności; owszem jego wymówki były zachętą do pracy i zagrzaniem do prawdziwego zapału.

Takiem postępowaniem naturalnie zjednał on sobie serca wszystkich. Dla tego też orkiestra ożywioną była ogniem zapału, jakiego wymagało odpowiednie wykonanie jego dzieł. Wielką też mu przyjemność zrobiło gdy spostrzegł jak włoscy śpiewacy i śpiewaczki, tak nazwyczajeni do melodyjnego, wszelkich dyssonacyj unikającego stylu swej ojczystej opery, jedynie z szacunku ku niemu chętnie nakłaniali swe głosy do czasem bardzo niespodziewanych modulacyj i intonacyj w kompozycyach Haydna, co im, jak to sami wyznali, nie raz z nadzwyczajną przychodziło trudnością, i wiele ich kosztowało pracy.

Zaraz po swem przybyciu do Londynu, Haydn zawarł był z dyrekcyą koncertów (Professional Concert) dawanych co tydzień w Hanover-Square, umowę, skutkiem której zobowiązał się napisać dwanaście nowych dzieł. W tych koncertach publiczność przyznała Haydnowi co do kompozycyi zwycięztwo nad Clementim, który z nim wystąpił był do współzawodnictwa.

Z okazyi tych koncertów opowiadają ładną anegdotkę. Haydn postawił był sobie za warunek, że jego kompozycye będą zamieszczone zawsze w *drugiej* części koncertu, gdyż z powodu spóźniania się wielu osób w początku koncertu, zawsze bywał pewien nieporządek i szmer. Ale trzebaż, że innego rodzaju okoliczność nie mniej rażąca i nieprzyjemna musiała rozgospodarować się podczas wykonywania drugiej części programu. Niektóre osoby, zazwyczaj ci co się spóźniali, przychodzili do sali koncertowej prosto ze smacznych obiadów, obierały sobie najwygodniejsze miejsca i w najlepsze zasypiali. Gniewało to Haydna, postanowił tedy zemścić się i napisał taką symfonią, w której po kilka razy najcichsze pianissimo przechodziło niespodziewanie w najhałaśliwsze fortissimo. Wchwili więc gdy słuchacze najmniej tego się spodziewali, pełna orkiestra wsparta całym arsenałem kontrabasów, piszczałek, trąb i kotłów powtarzała zagraną poprzednio zupełnie cicho harmonią. Cel został zupełnie osiągniętym. Obudzeni ze słodkiej drzemki melomani, wcale jednak się nie gniewali z tego powodu, gdyż kompozycya ta, obok wielu prawdziwych zalet, nadto odznaczała się wielką oryginalnością.

Jeszcze przed przybyciem Haydna do Londynu, sława jego nabyła w Anglii wielkiego rozgłosu, a mianowicie przez wiersze pod tytułem: *Verse on the arrival of the greade musician Haydn*, napisane przez Burneya autora znanej podróży muzykalnej.

Gdy Haydn zjawił się w Londynie, każdy chciał go widzieć i poznać jego dzieła. Ludność tłumnie tłoczyła się do sali koncertowej i do teatru.

Ale nie tylko swemu talentowi, swej sławie zawdzięczał on ten ogólny szacunek, jakim go otaczano. Wiele przyczyniła się do tego jego skromność i uprzejmość dla wszystkich bez względu na stanowisko i znaczenie.

W późniejszych latach z przyjemnością wspominał on o swoim pobycie w Anglii i policzył dni tamże przebyte do najszczęśliwszych całego swego życia. „Nowy zupełnie świat“ mawiał on, otworzył się wtenczas dla mnie, i z kimkolwiek tylko się spotkałem, wszyscy śpieszyli się z okazaniem mi szacunku lub ze sprawieniem mi jakiejbądź przyjemności.

Bardzo pochlebnem było dla Haydna, gdy w dniu 24 listopada 1791 roku, otrzymał zaproszenie na wieś do księcia York, który wtenczas mieszkał w zamku Eatland, o ośmnaście mil od Londynu. Haydn przepędził tu dwie doby, w ciągu których zajmowano się muzyką od godziny dziesiątej do drugiej po północy. Oprócz księcia York z małżonką, byli tu: jeden z książąt pruskich oraz książę Walii. Temu ostatniemu Haydn musiał zostawić swój portret. Inne dostojne osoby dały mu liczne dowody szczerego uznania.

Haydn z wielką starannością prowadził dziennik, w którym pilnie notował wszystkie wypadki swego życia. W pamiętniku tym, pisze on pod dniem 14 grudnia 1792 roku: „Pan Shaw zaprosił mnie dziś na obiad. Gdym

się zbliżał do jego domu, zeszedł on na dół, powitał mnie w bramie i zaprowadził do salonu gdzie była jego żona, jego dwie córki i kilka innych dam. Zaraz po przywitaniu spostrzegłem, że wszystkie te panie nosiły na około głowy wstążkę koloru perłowego, na której w małych złocistych literach wyszyte było moje nazwisko. Sam pan Shaw miał na obudwóch końcach kołnierza swego surduta takiż napis wyhaftowany stalowemi perełkami. Pani Shaw jest jedną z najpiękniejszych kobiet jakie kiedykolwiek widziałem. Jej małżonek prosił mnie, abym mu coś podarował na pamiątkę. Ofiarowałem mu tabakierkę, którą niedawno temu kupiłem był za jedną gwineę. Pan Shaw podarował mi w zamian swoję tabakierkę. Gdy w kilka dni potem znów byłem u niego, już tabakierka moja znajdowała się w srebrnem pudełku ozdobionem rzeźbioną lirą, na około której wyryte były wyrazy: *Ex dono celeberrimi Josephi Haydn.*

Ale bywały też czasami jeszcze więcej dziwaczne oznaki uwielbienia jakich Haydn doznawał, szczególniej od mniej ukształconych Anglików, z których nie jeden stanąwszy przed nim zmierzywszy go od stóp do głowy, odchodząc rzekł: „You are a great man.“

Najlepszym jednak dowodem tego, jak Anglicy umieli ocenić Haydna, jest to, że na wniosek słynnego doktora Burneya autora „Historyi muzyki,“ uniwersytet Oxfordzki udzielił mu dyplom „Doktora muzyki“, zaszczyt, jaki nie spotkał genialnego Haendla chociaż tenże przeżył w Anglii lat trzydzieści. Każdy kandydat ubiegający się o taką godność doktora (jest z nią połączona roczna pensya) musi złożyć wystarczające dowody co do znajomości sztuki oraz wyższego uzdolnienia muzykalnego. I od Haydna takowych zażądano. Haydn, złożył uniwersytetowi prawdziwe arcydzieło a mianowicie swój *Canon cancrizans.* Jest to kompozycya, która na wszystkie strony: na wprost i na odwrót, z góry na dół i z dołu na górę, bez naruszenia melodyi i harmonii mogła być czytaną.

Promocya doktorska odbyła się w katedrze z wielką uroczystością. Wszyscy obecni doktorowie wystąpili procesyonalnie; na dawane kandydatowi zwyczajne pytania, Haydn odpowiadał to co mu szeptał jego przyjaciel Salomon. Wiadomość o *wyborze* wygłoszoną została całemu zgromadzeniu z mównicy, przy czem wyliczone zostały zasługi kandydata. Na zapytanie: czy Haydn jest godnym otrzymania stopnia doktora? nastąpiła jednogłośna potwierdzająca odpowiedź. Było zwyczajem, że kandydaci przy takich uroczystościach występowali w fałdowanym kołnierzyku (kreza) i w osobnej formy płaszczu. „Chciałbym, rzekł Haydn, aby mnie w tem przystrojeniu mogli widzieć, moi wiedeńscy przyjaciele!“

Rozgłos jaki miało imię Haydna powodował mu często więcej wizyt i przerw w pracy, aniżeli mu to mogło być przyjemnem. Wizyty i żądania przybierały często nawet charakter dziwaczny. Pewnego dnia, wszedł był do mieszkania Haydna pewien oficer i w słowach bardzo uprzejmych, ale krótko i węzłowato, poprosił go o napisanie dwóch marszów dla orkiestry wojskowej. Haydn, z początku nie chciał przystać na tę propozycyą, uniewinniając się brakiem czasu, oraz tem, że komponowanie *na zakaz* nie jest jego rzeczą, że zwykł pisać jedynie pod wpływem odpowiedniego usposobienia, i dla tego nie może dawać żadnych obietnic; wreszcie, że jeżeli marsze gwałtem są potrzebne, to każe napisać pod swoim kierownictwem jednemu ze zdolniejszych muzyków.

Na to oficer odpowiedział lakonicznie:

— Te marsze muszą być koniecznie pańskiej kompozycyi; gdyby mi na tem nie zależało, nie byłbym się wcale udał do pana.

— No, a ileż mi pan dajesz czasu? zapytał Haydn.

— Dwa tygodnie, i jako honoraryum przeznaczam pięćdziesiąt gwinei.

Haydn zgodził się i napisał na naznaczony termin owe dwa marsze.

Oficer stawił się na minutę. Haydn tedy zasiadłszy do fortepianu z wdziękiem zagrał pierwszego marsza z *Es dur.* Anglik stał jak statua i słuchał. Gdy Haydn skończył tamten rzekł zimno:

— Ancor una volta.

Haydn nie wiedział co to ma znaczyć i powtórzył marsza, ale pomimo bacznej uwagi nie mógł on na twarzy oficera wyczytać najmniejszej oznaki zadowolenia. Gdy ostatni akord przebrzmiał, oficer wyjął z kieszeni rulon, w którym było 50 gwinei, wręczył takowy Haydnowi i wziąwszy owego marsza, zabierał się do wyjścia.

— Czy nie chcesz pan posłyszeć i drugiego marsza? zawołał Haydn zdziwiony oryginalnem postępowaniem anglika.

— Nie! odparł oficer, gdyż trudno aby tamten mógł być lepszym od tego. Bądź pan zdrów! Jutro wyjeżdżam do Ameryki.

VII.

Pobyt Haydna w Londynie trwał półtora roku. Kassa jego zasiliła się kapitałem 12,000 złotych reńskich. Żona jego tymczasem często pisywała do niego prosząc, aby wracał do domu; sam też on zresztą już zaczął tęsknić za krajem rodzinnym. W dniu 24 lipca 1792 roku, Haydn znów był w Wiedniu.

Muzycy wiedeńscy urządzili mu świetne przyjęcie dnia 28 lipca wielkim koncertem w „Augarten.“

Ukochanego Mozarta, nie znalazł on niestety już w gronie witających go przyjaciół; tenże zgasł był dnia 5 grudnia 1791 roku.

Trudno chyba o serdeczniejszy stosunek nad ten, jaki istniał pomiędzy tymi dwoma znakomitymi ludźmi. Przyjaźń ich była opartą na wzajemnym szacunku i na wzajemnem uznaniu co do talentu. Haydn sam przyznawał, że nie zna większego kompozytora nad Mozarta, i gorąco obstawał za „Don Juanem,“ który z początku małe tylko miał powodzenie.

Jak Haydn myślał o Mozarcie, jasno występuje z listu pisanego jeszcze w roku 1787 do Pragi do jednego ze swoich przyjaciół, który prosił o nową operę do tamecznego teatru.

„Trudne stawiasz mi zadanie, pisze Haydn, gdyż z Mozartem nie łatwo kto rywalizować może. Ach, gdybym mógł wryć głęboko w duszę wszystkim miłośnikom muzyk a szczególniej możnym i potężnym tego świata, nieporównane utwory Mozarta. Gdyby oni mogli takowe odczuć i pojąć jak ja je odczuwam i pojmuję, wtenczas niezawodnie całe narody ubiegały by się o posiadanie tego klejnotu i zatrzymanie go u siebie. Niechaj Praga go posiada, ale niech go też odpowiednio wynagradza, gdyż bez poparcia materyalnego smutne są zazwyczaj losy geniuszów... wiele najpiękniejszych nadziei marnieje. Mnie to martwi, że ten świetny Mozart dotąd nie został zaangażowanym do żadnego cesarskiego ani królewskiego dworu.“

Mozart znów ze swej strony był zapalonym wielbicielem Haydna.

— Poświęcić mu moje kwartety było mojim obowiązkiem, mawiał on, gdyż dopiero od Haydna nauczyłem się, jak trzeba pisać kwartety. Mozart nie pozwalał nic powiedzieć na Haydna, i gdy raz jeden z młodszych kompozytorów z liczby tych co to posiadają więcej zamiłowania w pracy niż rzeczywistego talentu, w rozmowie zwracał za często trochę uwagę na niektóre usterki jakich się Haydn miał dopuścić pod względem stylu w swoich partyturach, Mozart w gniewie zawołał: „Panie! choćby nas obydwóch razem stopiono, nie starczyłoby na jednego Haydna!“

Miłą niespodzianką dla Haydna było, gdy się zaraz po swoim powrocie z Anglii dowiedział o pomniku jaki mu postawił cesarski podkomorzy i radca rządowy hrabia Leonard von Harrach w dziedzicznym swym majątku Rohrau, które jak wiadomo jest miejscem urodzenia Haydna. Hrabia choć bardzo mało go znał osobiście, należał jednak do gorących jego wielbicieli. Pomnik ten wzniesiony był w poetycznem ustroniu nowozałożonego parku. Był to słup kamienny z muzykalną trofeą u wierzchu; na nim wyobrażone były dwie tablice z nutami (kompozycye Haydna), poniżej zaś tychże, znajdowały się dwie płyty. Na pierwszej był napis następujący: *Dem Andenken Joseph Haydns, des unsterblichen Meisters der Tonkunst, dem Ohr und Herz wetteifernd huldigen gewidmet von K. L. Gr. v. Harrach im Jahr 1793.* („Pamięci Józefa Haydna, nieśmiertelnego mistrza muzyki, któremu ucho i serce współzawodnicząc hołdują, poświęca K. L. hr. Harrach w roku 1793“).

Na drugiej zaś tablicy *Rohrau gab ihm das Leben im Jahre 1732 dem 1 April, Europa ungetheilten Beifall.* („Rohrau dało mu życie w roku 1732, 1-go kwietnia; Europa ogólne uznanie“). Lipska gazeta muzyczna z r. 1800 w drugim tomie zamieściła szczegółowy opis tego pomnika oraz jego rycinę. Na pomniku mylnie podany jest „pierwszy kwietnia,“ jako data urodzenia Haydna, jak na początku tego życiorysu wymieniliśmy, Haydn urodził się dnia 31 marca, i sam on, ile razy kolwiek pokazywał u siebie z drzewa wyrzeźbio-

ny model tego pomnika, zawsze zwracał uwagę na tę omyłkę.

VIII.

W roku 1794 Haydn postanowił po raz drugi udać się do Anglii, gdzie przed trzema laty tak świetnego doznał był przyjęcia i skąd znowu przyszło kilka większych zamówień. Pomiędzy innemi Salomon prosił o sześć nowych symfonij.

Książę Esterhazy (syn) nie chciał go puścić, ale Haydn pomimo podeszłego wieku (miał wtenczas już 62 lat) nie zważał na żadne perswazye, i wyjechał dnia 19 stycznia.

W Wisbadenie znowu zdarzyło mu się coś podobnego jak niegdyś w Wiedniu t. j. że nie chciano mu wierzyć, że jest Haydnem, owym sławnym kompozytorem. W hotelu gdzie Haydn stanął, doleciały go wieczorem z sąsiedniego salonu dźwięki fortepianu. Grano „Andante" jego kompozycyi. Haydn nie mógł oprzeć się pokusie i wszedł. Zastał on tu pomiędzy innymi kilku pruskich oficerów, którzy okazali się zapalonymi wielbicielami „dzieł Haydna," ale gdy im objawił że *tenże* stoi przed nimi, żadną miarą temu uwierzyć nie chcieli. Utrzymywali oni, że Haydn nie może wcale być tak starym, sądząc po młodzieńczej werwie jaka panuje w utworach tego mistrza. Dopiero gdy im Haydn przyniósł ze swego pokoju list króla pruskiego adresowany do niego, miejsce powątpiewania zajęły żywe oznaki uwielbienia. Zatrzymano go i wesołe gawędy oraz muzyka przeciągnęły się do późnej nocy.

W dniu 4 lutego 1794 r. Haydn przybył do Londynu. Przyjęcie jakiego doznał, było jeszcze świetniejszem niż za pierwszej bytności, i to nie mało wpłynęło na spotęgowanie jego twórczej siły.

Ten drugi pobyt w Anglii trwał dwa lata.

O pilności z jaką Haydn wtenczas oddawał się pracy, świadczy wykaz kompozycyj zanotowanych w jego dzienniku. Napisał on w tym czasie: jedną operę, dwa wielkie chóry, dwanaście symfonij, jedną uwerturę, sześć kwartetów, cztery koncerty na rozmaite instrumenty, jeden koncert podwójny, pięć aryj, dziewiętnaście sonat na fortepian, trzy marsze, dwadzieścia ośm menuetów i dwieście mniejszych pieśni i śpiewów. Tak znaczna liczba tych ostatnich tłómaczy się tem, że napisane one zostały w szlachetnym celu uratowania pracowitego, ale nieszczęśliwego człowieka z ostatecznej nędzy. Niejaki Napier nakładca nut, ojciec dwanaściorga dzieci, został za długi wtrąconym do więzienia. Haydn, chcąc mu przyjść w pomoc, skomponował muzykę do stu szkockich pieśni (z akompaniamentem skrzypiec i kontrabasu) i nuty te tak wielki miały odbyt, że Napier nie tylko zaspokoił swoich wierzycieli, ale nadto mógł jeszcze Haydnowi za następną seryę pieśni wypłacić jako honoraryum nie 50, jak brzmiała umowa, ale 100 gwinei w złocie.

Jeszcze za pierwszej swej bytności w Anglii, Haydn robił był starania, aby na programmie koncertów królewskich dawanych raz na rok (zazwyczaj grano *tylko* utwory Haendla) umieszczono jaką jego kompozycyę. Ale wtenczas nie dało się to zrobić. W roku 1794 jednak, za zezwoleniem króla jedna z symfonij Haydna została przyjętą i miała wielkie powodzenie.

Haydn wysoko cenił Haendla, z rozkoszą słuchał jego muzyki i często nazywał go „Ojcem wszystkich kompozytorów." Późniejsze utwory Haydna, szczególniej kościelne: oratorya i chorały, jasno świadczą o głębszych jego studyach nad Haendlem. Pewnego razu król Jerzy III, chciał słyszeć psalm Haendla zagrany na organach przez Haydna, i tenże wywiązał się z tego zadania ku wielkiemu zadowoleniu monarchy.

Odtąd bywał często zapraszanym do dworu i musiał śpiewać i grać z księżniczkami. Król chciał go koniecznie zatrzymać na zawsze w Anglii. Królowa ofiarowała mu mieszkanie w Windsor i rzucając filuterne spojrzenie na swego małżonka, dodała: „Wtedy czasami będziemy mogli tête à tête bawić się w muzykę."

— Oh, o Haydna nie jestem wcale zazdrosnym; to dobry i poczciwy Niemiec! odpowiedział król.

— Szczycę się z tego, Najjaśniejszy Panie rzekł Haydn.

Gdy król jeszcze raz powtórzył swe życzenie zatrzymania go w Anglii, Haydn wymawiał się swojemi obowiązkami względem domu Esterhazych, oraz tem, że niepodobna mu jest rozłączyć się na zawsze ze swoją ojczyzną i z żoną.

— To napisz pan do żony aby przyjechała do nas i tu zamieszkała.

— To niepodobna Najjaśniejszy Panie, odpowiedział Haydn, ona nie może przeprawić się przez Dunaj, tak się boi wody a cóż dopiero... przez morze!

Być może, że z powodu tej odmowy, Jerzy III cokolwiek zobojętniał dla Haydna. Monarcha ten nie okazał też się zbyt szczodrobliwym dla Haydna. Nawet królowa nie podarowała mu nic więcej oprócz partytury, jednej z oratoryi Haendla. Ale tem obficiej za to sypały się kosztowne upominki od innych osób zamożnych. Koncerty benefisowe bywały przepełnione wyborową publicznością. O jednym z takich koncertów, o tym mianowicie na którym po raz pierwszy graną była „Symfonia wojskowa" (Militärsymphonie) Haydn pisze w swoim dzienniku: „Sala była pełną, usposobienie zarówno słuchaczy jakoteż i moje było wyborne. Ten jeden wieczór przyniósł mi 4,000 złotych reńskich. Coś podobnego może się zdarzyć tylko w Anglii."

Ale nie na tem ograniczały się jego dochody. Za lekcyę na fortepianie np. płacono mu po gwinei. Wszystko to razem policzone stwierdza to co Haydn powiedział, że kilkoletni jego pobyt w Anglii przyniósł mu w ogóle około 24,000 złotych reńskich, z których jednak potrącić należy koszta utrzymania i koszta podróży.

d. c. n.

MAKSYM

Opowiadanie z obyczajów kreolskich

przez

Th. Bentzona.

(dokończenie).

Zapomnij mnie i, jeśli możesz, wraz z moim obrazem wymaż ze swej pamięci rozczarowania i przykrości, któremi cię tu, niestety! napojono. Ja o tem wszystkiem zawsze pamiętać będę, za mnie i za ciebie. Drogi Maksymie, jakżem się lękała aby miłość nasza, nie wyznana jeszcze, nie dotknęła ziemi! Ziemia ta jej niegodna ma swe prawa i przesądy, o które rozbić się musimy; ale przyjdzie dzień, w którym znów znajdziemy się na okręcie, wolni — sam tak powiedziałeś kiedyś, i jestem pewną słów twych urzeczywistnienia. Znajdziemy się daleko stąd, dalej niż we Francyi, a wszystko przemawia za tem, że cię poprzedzę w tej podróży. Klimat jest potężnym mordercą, a ja nie czuję się zbyt silną. Będę oczekiwała cię;... Bogu dzięki, znasz drogę, którą się ze mną połączyć możesz... Maksymie, jakżem była szczęśliwą widząc cię na kolanach... Nigdym nie śmiała zapytać cię czy wierzysz w niebo."

Ostatni wiersz jej listu rozpływał się od łez spadłych na papier, wymowniejszych nad wszystko; ale Maksyma nie wzruszyło bynajmniej ani to uczucie głębokie, ani boleść pełna rezygnacyi. Jedno uczuwał tylko żywo, że i Lili, że i ona opuszczała go także.—Tak się stać musiało, pomyślał.

Wszystkie sprężyny jego wrażliwej organizacyi osłabły nagle, jakby pod dręczącym wpływem snu przykrego, który go trapił od dnia wczorajszego, przerwany jedną tylko krótką chwilą uszczęśliwienia niebiańskiego prawie, chwilą ożywczą, po której w tem głębszej jeszcze pogrążyć się miał boleści. Zdawało mu się że ten ostatni cios go dobił, że utonął w bezmiarze nicości. Noc ciemna rozpostarła się w koło niego, ociężałe czoło wsparł na stole, i pozostał tak nieruchomy. Buntownicza chętka stawienia czoła przeciwnościom losu, która niekiedy podniecając naszę dumę sił nam tym sposobem do walki dodaje, rozpacz zużywająca się w własnych wybuchach, nie miały już nigdy przyjść w pomoc Maksowi. Wpadł odtąd w moc najnieubłagańszego wroga człowieka, jakim jest przesyt życia. Zaprzestał sterować już życiem, potępionem dlań od tej chwili; siła ludzka nie wystarczała do zwalczenia fatalności, która go zewsząd otaczała, zewsząd naciskała. Wszystkie środki obrony, w jakie opatrzyło go wychowanie europejskie, kruszyły się w jego rękach, albo stawały nieskutecznemi przeciwko nieznanym potworom, które miał do zwalczenia.

Podarł na drobne kawałki list Lili i wyrzucił go za okno.—Biedna dziewczyna, zgubiłaby się, pomyślał; nie powinno się pisać do takiego jak ja stworzenia, nawet choćby dlatego tylko żeby je od siebie odepchnąć.

Pan Vernon, który siedząc pod werendą swego domu palił cygaro, zdumiał się niemało widząc wchodzącego Maksa.

— Wystawiłeś się na upał, do którego nie nawykłeś, rzekł. Powinieneś wiedzieć, że tu każda nieprzezorność może cię na niebezpieczeństwo narazić. Łatwo mógłbyś dostać febry.

— Nic mi nie jest — odrzekł Maksym — przyszedłem prosić pana o jedną łaskę.

— Zaczynasz coś poważnie! Zgadzam się na nią z góry.

— Dziękuję. Znane mi jest przyjazne pańskie względem mnie usposobienie; gdyby mnie miało jednak dziś zawieść, to nie wiedziałbym doprawdy do kogo się zwrócić, bo nie znam nikogo w tem mieście, ktoby mógł mi służyć za świadka w sprawie honorowej.

— Pojedynek! — zawołał pan Vernon wypuszczając z rąk cygaro. Cóż się takiego stało?

—Nowego nic. Zdaje się że dostatecznie znieważono mnie wczoraj; widzę jednakże iż pan nie przypuszczałeś abym się posunął aż do żądania satysfakcyi.

— Na Boga! — zawołał jąkając się pan Vernon — przyznaję, że widząc cię tak spokojnego dziś rano, myślałem że nie zechcesz dochodzić zniewagi, która w rzeczywistości nie dotykała ciebie, ale raczej pewną klasę ludzi, z której twoja wartość osobista stanowczo cię wyłącza.

— Wyróżnienie to zbyt subtelne i nie dość dla mnie jasne — odparł Maksym chłodno. Przypatrzmy się tym rzeczom z właściwego punktu widzenia. Przypuść pan że jesteś w moim wieku, i że ktoś wzbroniwszy ci poprzednio zająć krzesło w miejscu publicznem, do którego miałeś tak dobre prawo jak inni, uknuł nadto intrygę przeciwko tobie aby cię jak psa wypędzono. Jakiego też wówczas byłbyś pan zdania: czy podobne postępowanie upoważniałoby do krwawego odwetu, czy nie?

Pan Vernon zwiesił głowę.—Ależ dziś rano,... odparł, szukając w myśli jakiej odpowiedzi wykrętnej.

— Dzisiaj rano, byłem jeszcze w niepewności co do jednego punktu, od wyjaśnienia którego moje postanowienie zależało. Kocham pannę Hamlin, wiedziałem, iż jest prawie narzeczoną pana de Lora, i nie chciałem narazić na śmierć z mej ręki jej narzeczonego. W tym razie, poszanowanie jej szczęścia, być może, dodałoby mi dość odwagi by uchodzić w opinii ludzi za tchórza...

— Zacne to uczucie, mój chłopcze, i nie wątpię, że posłuchasz jego głosu.

— Daruj pan, rzekł Maksym, ale pan Henryk de Lora jest zupełnie obojętnym dla panny Hamlin, i nigdy mu ona ręki swej nie odda... Jestem więc zupełnie wolnym, i mogę działać podług mojej woli.

— Czy cię kocha?

— To nie należy do rzeczy. Przyszedłem prosić pana, abyś się zgodził wręczyć panu de Lora mój bilet. Nie chciałbym się spotkać z tym człowiekiem gdzieindziej, jak na wyznaczonem stanowisku, i chciej mnie pan pojąć dobrze, będzie to pojedynek na śmierć; jest to nieodwołalne postanowienie.

— Ale trzeba ci wiedzieć, że ten de Lora jest dziwnie szczęśliwym w pojedynkach.

— Tem lepiej.

— Szukasz więc śmierci, nieszczęśliwy chłopcze!

— Szukam jej, odkąd zakosztowałem życia rzeczywistego. Do dnia wczorajszego marzyłem bardzo przyjemnie, muszę to przyznać. Przebudzono mnie. Skończyło się wszystko... Życia mam już do syta!

Maksym wymawiał te słowa z zatrważającą stanowczością.

— Gorączkujesz się, zawołał pan Vernon.

Za całą odpowiedź młodzieniec wyciągnął doń rękę.—Możesz się pan przekonać, czy mi puls choć trochę prędzej bije. Tracimy za wiele czasu. Zgadzasz się pan zobaczyć z panem de Lora i być moim świadkiem?

— Posłuchaj, rzekł pan Vernon z głębokiem wzruszeniem, żądasz odemnie jedynej rzeczy, której uczynić nie jestem w stanie. Odmówi ci satysfakcyi... i będzie w swoim prawie; nie przerywaj mi... wielu nawet ludzi będzie mu to miało za obowiązek. Nie chcę się narażać na odpowiedź obrażającą, która w tym razie zwracałaby się bezpośrednio do mnie, jako do twego mandataryusza.

— Niechaj i tak będzie! odrzekł młodzieniec po chwili namysłu. Muszę sam działać.

— Maksymie!

Wybiegł z pod werendy nim zdołano go zatrzymać. Pan Vernon pobiegł za nim na ulicę, ale stracił go z oczów w tłumie przechodniów, i nie zobaczył więcej. Maksym tymczasem zwrócił swe kroki ku pewnemu domowi, o który przechodniów się rozpytywał i do którego zresztą nie trudno było trafić. Przed jego oczyma wspaniała stolica Luizyanny błyszczała niby królowa w całym blasku swej nocnej toalety. W zwierciadlanej powierzchni rzeki, składającej u jej stóp jako haracz bogactwa niezmiernego handlu, odbijał się jej ognisty dyadem, illuminacya miasta zbytku i rozkoszy, w którem dostatek materyalny, różnorodne przybierając kształty, swym złotolitym płaszczem tak szczelnie osłaniał nędzę społeczną, iż najprzenikliwsze oko nie mogło jej dopatrzeć. Jakby pogardzając tym blaskiem ziemskim, sklepienie niebios, ciemne i przejrzyste zarazem, lśniło się niezliczonemi dyamentami na niezmierzonej wysokości.

Maksym zbłądziwszy kilkakrotnie, zatrzymał się wreszcie przed starożytnym, arystokratycznej powierzchowności domem, którego brama wiodąca na wewnętrzny dziedziniec otwarta była dla przejeżdżających powozów.

Wdzięczne sylwety strojnych kobiet przesuwały się po galeryi zewnętrznej; lekkie firanki uchylając się dozwalały widzieć przygotowania balowe. Już pierwszy walc rozbrzmiewał w powietrzu nasyconem wonią pomarańczową. Może i ona tam, pomyślał Maks. Nie Delia jednak była celem jego tu przybycia. Wszedł, szepnął parę słów jednemu z służących u drzwi, i czekał. W kilka minut służący wrócił z odpowiedzią, że jego państwo wydając bal, nie mogą tego wieczoru nikogo przyjąć, prócz zaproszonych gości.

— Proszę uwiadomić pana Henryka de Lora, że sprawa względem której mam się z nim rozmówić, nie cierpi zwłoki, nalegał Maksym.

Wprowadzono go do pewnego rodzaju fajczarni, położonej obok apartamentów gościnnych, w której go długo samego pozostawiono. Pokój ten obity makatami i w około otoczony bardzo niską, zachęcającą do odpoczynku kanapką, posiadał za jedyną ozdobę trofea myśliwskie i rozmaitą broń, objawiając tym sposobem, że jego mieszkaniec odziedziczył upodobanie swych przodków, wielkich myśliwców i zapalonych prześladowców niedźwiedzi. Pan Henryk de Lora ukazał się nareszcie w białych rękawiczkach, z kwiatkiem przypiętym do fraka, i z miną człowieka zmuszonego do załatwienia niemiłej sprawy. Nazwisko Maksyma d'Arcy wystarczało dostatecznie do wzburzenia go, jemu to bowiem w duchu przypisywał odmowę panny Hamlin, uczestniczenia w wydanym na jej cześć balu, który oddawna już zapowiedziany, miał być, jak się spodziewano, tylko wstępem do uroczystości daleko ważniejszej. W Luizyanie, w której panują jeszcze niektóre obyczaje francuzkie, młode dziewczęta nie ustępując nic w kokieteryi swoim rówiennicom na północy, mniejszą jednak mają swobodę niż one gdy idzie o wybór męża. Ojcu Lili, który lubo nie myślał ograniczać swobody wyboru swej córki, uśmiechał się bardzo projekt małżeństwa, za którym przemawiały wszystkie korzyści jakie daje stanowisko i majątek, nie mówiąc już o powabach innego rodzaju, bo pan Henryk de Lora, mimo swej żółtawej cery, uchodził za jednego z piękniejszych w Nowym-Orleanie młodzieńców. Tymczasem ani próżność, ani ambicya, nie miały stanowić o przyszłości Lili, lecz uczucie, które pominięto w tym rachunku. Serce Lili pod potężnym wpływem tego nieokreślonego uczucia, które zbliża ludzi przeznaczonych dla się przez moc potężniejszą niż ich mądrość i wola, serce to czyste i prawe oddało się bezwiednie prawie człowiekowi, któremu Lili odebrać je nie chciałaby i nie mogła. Pani de Lora, która była u państwa Hamlin właśnie w chwili przybycia ich córki, opowiedziała swemu synowi zajście, którego wypadkowo była świadkiem. Jednem z pierwszych słów młodej dziewczyny było pochwalenie się uprzejmością i wszelkiego rodzaju względami, których doznawała ze strony pana Maksyma d'Arcy. Imię to sparaliżowało nagle serdeczne wylania rodziny. Biedne dziecie, jest oczarowane, rzekła pani de Lora. Nieszczęście chciało, że i Henryk, który, dopóki nie znał panny Hamlin zachowywał się dość obojętnie względem projektów jego rodziny, obecnie zainteresował się nią mocno. Nawet chłód, z jakim go przy pierwszem widzeniu powitała podniecił tylko tembardziej jego zapały; nie nawykł był do oporu, a przytem rozkosz jaką znajdował w upokorzeniu syna niewolnicy, czyniła dłań ponętniejszem przewidywane zwycięztwo. Rozumie się że Henryk rumieniłby się na samą myśl uważania za rywala, zuchwalca, którego ukarać pragnął. Z tem wszystkiem w tej nienawiści jaką w nim budził ten d'Arcy, tkwiło coś więcej niż zwykły wstręt kreola do człowieka ciemniejszej barwy, i mocnoby tego żałował, gdyby zmuszony był poprzestać na pierwszej danej mu w teatrze nauczce. Ujrzawszy go wchodzącego, jakby umyślnie szukającego nowej, dotkliwszej jeszcze zniewagi, czarne oczy Henryka de Lora o bruna-

tnych ociężałych powiekach, prawie senne zazwyczaj, zajaśniały dziką radością.

— Sądzę, że byłoby zbytecznem, rzekł Maks kłaniając się, wyjaśnić panu powód mojego tu przybycia. Pewnieś pan nie zapomniał swego postępku wczorajszego wieczora.

Henryk zdawał się szukać jakby dawnego, mętnego wspomnienia.

— Wybaczysz mi pan, aleś tak długo zastanawiał się nad tą sprawą, iż przez ten czas wyszło mi z głowy twoje niestosowne znalezienie się, jak i pan sam nie zdajesz się również pamiętać rady, trochę może za dotkliwej, jakiej ci udzieliłem.

Ciemny rumieniec wystąpił na lica Maksyma, lecz w tejże chwili ustąpił przed większą jeszcze niż przedtem ich bladością.

— Zechciej pan być wyrozumiałym, rzekł, na zwłokę, którą spowodowały nie z mojej winy pochodzące okoliczności, bo jeżeli sobie życzysz, wprędce możem wynagrodzić czas stracony. Obrażony ma wszędzie wolny wybór broni. Wybrałbym szpady, ale objaśniono mię, że zwyczajem tutejszym jest pojedynkować się na broń palną. Zastosuję się więc do zwyczaju.

— W tym przedmiocie rozstrzygają świadkowie między sobą, odparł Henryk.

— Rachowałem na pańską szlachetność i rycerski charakter, odrzekł skromnie Maksym przygryzając drżące wargi, i dla tego myślałem, że obejdziemy się bez zwykłych formalności. Kula jest jałmużną, o którą przyszedłem cię prosić.

— Miły Boże! Żądasz pan odemnie jałmużny, która zamiast upokorzyć żebraka, przeciwnie, podniosłaby go tylko w godności...

Pan de Lora mówił zwolna, z wahaniem. Bądź co bądź miał przed sobą człowieka — człowieka nieustraszonego, gotowego na wszystko, równego mu fizycznie i, jak to podejrzywał z wściekłością, wyższego nadeń wykształceniem umysłu. Niewątpliwie byłoby to rozkoszą nielada, zmierzyć się z takim człowiekiem! Henryk lubił pojedynek, jak lubił konie, taniec i grę; ale na myśl że przyznając mu w oczach Delii godność rywala, postąpiłby naraz nietaktownie i nielogicznie, oparł się wabiącej pokusie, a rozdrażnienie stąd wynikłe tem większą słowa jego zaprawiały cierpkością.—Jak mogłeś spodziewać się pan że przychylę się do twego żądania, kiedy nawet tak elastyczne zasady pańskiego przyjaciela, tego wolnomyślnego Jankesa Vernona, nie dozwoliły mu wdawać się w tę sprawę. Czyż pojedynkowano się kiedy w Europie z człowiekiem splamionym? Otóż barwa skóry jest ze wszystkich plam najgorszą! Wszak wiesz pan dobrze że nawet ludzie tego samego co pan pochodzenia mają wstręt do swych bliźnich, jeżeli ci są ciemniejszej do nich barwy. Przesąd, niech i tak będzie, wszystko można nazwać przesądem. Trzymają się ich ludzie i w starym świecie, chociaż wtrącają się do nas, i chcą nasze prostować przesądy.

— Czyż słowa pańskie mają znaczyć, że obraziwszy mię, chcesz teraz odmówić mi zadośćuczynienia? zapytał Maks gorączkowo.

— Przykro mi, mój panie, ale ludzie mojej kasty, postanowili bądź co bądź utrzymać przewagę nad waszem plemieniem. Ten sam powód który nie dozwolił panu znaleść świadków, nie dozwala mnie również bić się z panem.

— Odmawiać mi zadośćuczynienia, jest to podłość największa, zawołał Maks gwałtownie.

Kreol zerwał z rąk rękawiczki i postąpił krok naprzód, gotów zapomnieć że nie ma do czynienia z równym sobie. Maksym widział to poruszenie i sądził że go wreszcie do pojedynku skłoni.

— Znieważyłeś mnie pan bez powodu w obec całego miasta, w obec kobiety którą kocham, powtarzam więc, że to jest czyn nikczemnika.

Wbrew oczekiwaniem Maksa, pan de Lora przybrał swoję postawę spokojną.— Rzeczą trybunałów będzie podnieść znaczenie słowa, które jako z ust pana wyszłe nie może mię dosięgnąć, rzekł, zapanowawszy nad sobą nagłym zwrotem myśli, ale wiedz pan raz na zawsze, że miałem powód... powód ważny. Gdybyś był nic nie zawinił nad to żeś spojrzał tylko na kobietę, która ma być moją żoną, kara byłaby już usprawiedliwioną.

Jego żoną! Maks chciał coś odpowiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle. W oczach stanęła mu Lili hołdująca przesądom, które w około niej panowały, rzucająca się w objęcia jego nieprzyjaciela i rumieniąca się za swój błąd chwilowy.

Nie, tak nie było, tak byćby nie mogło!

— Zresztą, mówił dalej Henryk z tym samym chłodem, przywodzącym Maksa do rozpaczy, nie zrozumiałem nic z tego co pan nazywasz całem miastem. Całe miasto zna cię, mój panie; wie ono dobrze że za pomocą tych ciemnych sposobów, które są tajemnicą twojego tylko plemienia, wydarłeś majątek słusznym spadkobiercom mojego powinowatego d'Arcy. Jego władze umysłowe, to jedno co go tłómaczy, były niesłychanie osłabione gdy się dopuścił tego bezprzykładnego zgorszenia. Co do kobiety którą kochasz, bądź pewien, że uwiadomiona o twojem pochodzeniu, będzie mniej robić sobie z ciebie niż Europejka z swego lokaja.

Afrykańska krew Maksyma którą czuł wrzącą w swych żyłach, zerwała wszelkie swe tamy jak rozszalały strumień.—Odmawiasz pan?... wybąknął z zaciśniętemi zębami.

— Odmawiam — odrzekł niedbale kreol.

Przez otwarte okna dolatywały dźwięki rozpoczętego kadryla, które zdawały go powoływać. — Pozwól mi pan, odrzekł, widząc swego interlokutora pogrążonego w ponurem milczeniu, skrócić tę rozmowę, z której nie widzę wyjścia.

Maksym wstrzymał go za ramię.

— Gdybym cię znieważył, znieważył również publicznie... gdybym w twoim domu, w obec twoich gości, w tej samej chwili nazwał cię...

— Zawołałbym ludzi, i kazał cię za drzwi wyrzucić, przerwał Henryk wyswobadzając się z uścisku. Są to twoi równi, i mogą też bez splamienia się wziąść się z tobą za bary.

Chciał pociągnąć za sznurek od dzwonka, ale Maksym zabiegł mu drogę.

— Gdybym na cię natarł, gdybym cię zmusił do obrony?..

— Zabija się psa wściekłego, odrzekł Henryk sięgając ręką po broń zawieszoną na ścianie po nad jego głową.

Maksym go wyprzedził jednym skokiem, schwycił na chybi trafi za pierwszy nóż myśliwski, i utopił go w piersiach młodego kreola z okrzykiem: — A więc giń!

* * *

Gdyby zabójca chciał był skorzystać z zamieszania, jakie z powodu balu w całym panowało domu, łatwo mógłby się wymknąć niepostrzeżony; ale nawet nie probował tego. Gdyby go nie zatrzymano, sam byłby się oddał.

Urzędnikowi, który z niego pierwszy spisał protokół, opowiedział rozmowę jaka miała miejsce między nim a jego ofiarą; unikał jednak starannie wtrącenia imienia panny Hamlin, przez co, być może, pozbawił się jedynej łagodzącej okoliczności, która na jego przemawiała korzyść. Tragiczny koniec pana de Lora wywołał prawdziwe wzburzenie w Nowym Orleanie i zwiększył na długo wstręt, jaki zwykle budziła klasa mulatów. Widzicie — mówiono — jak głębokie jest spodlenie tych ludzi i jak nic ich podźwignąć nie zdoła. Choćbyście ich wychowywali, kształcili, trzymali zdala od ojczyzny, przekształtowali na pozór, występek i okrucieństwo pozostaną zawsze w ich krwi, utajone do chwili w której stosowna okoliczność rozbudzi zwierze uśpione — tem wścieklejsze, im dłużej wypoczywało. Oto co powinniby widzieć raz na zawsze zwolennicy emancypacyi murzynów.

Panna Hamlin jest dzisiaj starą panną, jakich wiele, jedną z tych istot których życie zwarzone i błędne, poświęcone dobrym uczynkom i dewocyi, ukrywa zwykle pod swą pozorną jednostajnością jaką wielką i tragiczną katastrofę, nikomu najczęściej nieznaną. Pomimo wszelkiego dobra jakie świadczyła panna Hamlin, poważano ją nieosobliwie. Nie dla tego jednak iż pozostała wierną pamięci zabójcy, lecz że niegdyś, jak sobie szeptano na ucho, kochała człowieka ciemnej barwy.

TEATR.

„Starzy Kawalerowie," komedya w 5-ciu aktach Wiktora Sardou, tłómaczona z francuzkiego przez M. Chrzanowskiego.

Czem są starzy kawalerowie w opinii u nas? Są to stetryczałe indywidua, nieprzywiązujące się do nikogo z wyjątkiem piesków, kotków a najczęściej kanarków. Starzy kawalerowie to kreatury nudne, zakwaszone, o brwiach zmarszczonych i skrzywionych ustach, o cerze twarzy oliwkowej lub żółtej i o kościstych policzkach. Starzy kawalerowie to egoiści, obojętni na cierpienia bliźnich, pedanci, nakoniec zdala trzymający się od rodzin i nie lubiący dzieci. Tak o nich mówią u nas i mają słuszność. Lecz to jest dopiero jedna kategorya starych kawalerów, a mamy i drugą.

Do tej drugiej zaliczamy ludzi zawsze młodych, zawsze towarzyskich, zawsze lubiących ludzi, rodziny a nawet i dzieci, zawsze ele-

ganckich i wyperfumowanych, zawsze nadskakujących, zawsze bardzo elokwentnych i nakoniec nigdy nie starzejących się.

Te wszystkie powyż przytoczone przymioty są sztuczne, podrobione, fałszowane, lecz cóż to szkodzi, kiedy im właśnie z tem dobrze. Bo jeżeli kobiety noszą sztuczne włosy, podrobioną cerę twarzy, uśmiechają się fałszowanym kolorem usteczek i t. d. i t. d., to dla czegożby starzy kawalerowie nie mieli używać podobnej kontrabandy o fałszywym stemplu? Nic im się niepozostało, powiadają, świat wszystko im zabrał, żonę, córkę, rodzinę i dzieci. Zapóźno się spostrzegli, że im tego nie dano, a jednak i oni mogli mieć do tego prawa, tak dobrze jak inni ludzie. Za długo tylko ociągali się z przyjściem do tych praw, do ich używalności, a czas jakoś przebiegł, okoliczności nie dały opamiętać się i pozostali... samotni. Cóż robić, powiadają sobie, przegraliśmy partyę życia matrymonialnego z kretesem, nie zakosztowawszy go ani na chwilę, wypaliliśmy sami sobie diabelnego mata! Dziś reparować to byłoby już zapóźno; lecz czyż mamy zostać bankrutami? O nie, trzeba sobie radzić, ażeby choć cośkolwieczek, przynajmniej na otarcie starokawalerskiej łzy odzyskać; ażeby czemkolwiek poniesione straty powetować. I wiedzeni instynktem, a parci tlejącem się jeszczepod popiołami przepalonego i zużytego uczucia zarzewiem, szukają po świecie sztucznej żony a nawet sztucznej dla siebie rodziny, choć za tą ostatnią już mniej gonią, bo mniej o nią dbają. Szukając, często znajdują, atakują więc całym arsenałem sztuki podbijania serc niewieścich, staczają walkę, broniąc się obok tego od postronnych nieprzyjaciół, wymijają ich i albo bywają zdobywcami albo też cofają się odparci. Czasem taka rejterada drogo ich kosztuje. Co do wyboru zdobyczy nie bardzo są wybredni, ogólny bowiem wyraz *kobieta* za wiele ma dla nich uroku. Szukają więc jej wszędzie, po wszystkich szczeblach drabiny społecznej, jak daleko tylko sięgnąć są zdolni. I gdzie napotkają zdobycz tam zarzucają sieci. Różnica położenia socyalnego, różnica pozycyi niewieściej niczem są dla nich. Niewinność, małżeństwo, macierzyństwo nie zdoła założyć wędzidła na tych panów, na wszystko gotowi się rzucić i wszystko potargać. Taką jest mniej więcej u nas ta druga kategorya starych kawalerów, choć bodaj czy nie mniejsza liczebnie od pierwszej i ta właśnie kategorya jest podobną bardzo do starych kawalerów francuzkich, których Sardou wziął za temat do swojej komedyi.

W komedyi tej występują: trzy żony, trzech mężów i trzech kawalerów, oprócz dwóch bardzo wybitnych postaci, jakiemi są: młoda panienka i jej narzeczony. Reszta figur podrzędna. Stary kawaler Mortemer (p. Leszczyński) zszedłszy się z dwoma innymi: Veaucourtois (p. Żółkowski) i Clavières (p. Stolpe), przedstawia im całą nicość moralnego położenia starych kawalerów, a tem samem i ich. Każdy z nich kiwa głową i przyznaje się do tej smutnej bezcelowości życia, jaką wyradza brak żony i dzieci. Cóż robić, powiadają, kiedy to się już nieodmieni. Trzeba się poddać smutnemu losowi. Ale osłodzić sobie można żywot, a nawet i trzeba, odpowiada Mortemer. A to jakim sposobem zapytują Veaucourtois i Clavières? Jakim? bardzo prostym... No powiedzże nam powiedz... Oto założyć sobie rodzinę w cudzej rodzinie, urządzić sobie wygodny dom w cudzym domu. Aha, masz racyę, trzeba będzie tak zrobić.

I starzy rozpustnicy probują tego. Mortemer zaczyna od Klementyny, żony pana de Chavenay (p. Rakiewicz), lecz p. de Chavenay (p. Grzywiński) spostrzega to odrazu i bardzo ostrożnie ma ich na oku. Mortemer wszakże trafił na uczciwszą, aniżeli mu się zdawało, kobietę, bo Klementyna nieprzyjmuje formalnego oświadczenia jego. Mortemer powiedziawszy sobie, iż za gorąco się wziął do tego, kapituluje i to tem łatwiej, że na razie nawinęło mu się pod oczy urocze dziewcze — Antonina (p. Popiel Romana), która mimowoli oczarowywa Mortemera blaskiem dziewiczej świeżości i sielankowej prawdy. Mortemer wszakże jak niewierny Tomasz chciałby się przekonać o jej idyllicznej niewinności, do czego wkrótce bardzo zręczna nadarza mu się sposobność. Clavières atakował Rebekę (pani Ostrowska) żonę p. Du Bourg i szło mu z początku nieźle. Kto wie nawet czyby wiara małżeńska pani Rebeki nie była złamaną, gdyby nie list, pisany ręką Rebeki do Claviėra, a pozostawiony niechcący przez nią na toalecie. Rebeka, spostrzegłszy zapóźno, że list ten dostał się w ręce męża p. du Bourg (pan Holtzman), który i tak od pewnego czasu obserwował ich, decyduje się na krok heroiczny, a tym krokiem ma być śmierć wespół z kochankiem, ażeby się uchronić od hańby. W tym celu zawoalowana jedzie do Claviėra, którego zastaje w saloniku Mortemera, tam odgrywa tragiczną scenę, woła, że jest schańbioną, wyjmuje z zanadrza truciznę, którą podaje Claviėrowi, żądając by razem z nią zażył takową i umarł dla miłości. Clavières powiada, że głupstwa tego nie zrobi, truciznę wrzuca w ogień i dowodzi Rebece, że hańby jeszcze dla niej nie widzi. Nakoniec uspakajają, że może list gdzie zgubiła i radzi jej spiesznie go szukać. Tym sposobem pozbywa się Rebeki, która wychodzi bocznemi drzwiami, pozostawiając Antoninę w karecie, z którą przyjechała, powiedziawszy jej poprzednio, iż wstępuje do doktora. Clavières odetchnąwszy po odejściu Rebeki opowiada przybyłemu Mortemerowi o całem zdarzeniu i o bezowocnem oczekiwaniu w karecie Antoniny na Rebekę. Mortemer po chwili zostawszy sam, wzywa przez lokaja Antoninę do siebie, oświadczając jej, iż Rebeka jest w drugim pokoju na konsultacyi u jego przyjaciela lekarza. Bojąc się więc, ażeby oczekiwanie tak długie nie znudziło Antoniny, poważył się z upoważnienia niby Rebeki prosić ją do swego mieszkania. Antonina przyjmuje to wyjaśnienie z całą prostotą niewinności młodziuchnej dziewicy i uważa krok Mortemera za bardzo uprzejmy i naturalny. Tu jest oddana prześliczna scena, w której na ataki zręczne i niezręczne Mortemera Antonina odpowiada z całą naturalnością i prostotą niewinności. Stary wytrawny gracz w podbojach niewieścich, w którego piersi powstała gwałtowna dla Antoniny miłość, olśniony urokiem prawdziwej dziewiczej niewinności, zgina przed nią kolano jak przed świętą i pierwszy raz w życiu z pewnem namaszczeniem oddaje pokłon cnocie i czem prędzej w bardzo wzruszającej scenie wyprowadza Antoninę z mieszkania, zalecając jej, by nigdy nie opuszczała towarzyszki swojej.

De Nantya (p. Tatarkiewicz) narzeczony, Antoniny, spostrzegłszy bytność jej u Mortemera, wyzywa go na pojedynek. Mortemer, który już siedm razy bił się, tym razem uczuwa pewien żal; nie chciałby bowiem zabijać de Nantya, sam zaś nieczuje się winnym w tem zdarzeniu by tracić życie. Spędzona noc bezsennie nastręczyła Mortemerowi mnóstwo uwag z powodu braku żony i dzieci. Nikt po mnie nie zapłacze, powiada, i nikt nie odziedziczy spadku, jeśli szpadą przeszyty zostanę.

W tych rozmyślaniach i porządkowaniu papierów, znajduje pomiędzy innemi list miłosny bez podpisu od kobiety, o której przypomina sobie, że rozerwał niegodnie małżeństwo jej z mężem i później nikczemnie opuścił ją, pozostawiając samą wraz z owocem ich miłości. Na kopercie listu była pieczątka taka sama co i na liście jego przeciwnika de Nantya, z którym za godzinę bić się miał. Pieczątka ta z początku zaintrygowała Mortemera, który zażądał objaśnień od sekundantów de Nantya o jego pochodzeniu. Objaśnienia te przekonały Mortemera, że de Nantya jest właśnie tym owocem miłości porzuconej przez niego kobiety. Bić się z synem, to niepodobieństwo, całe piekło mąk ogarnia duszę Mortemera, uczucie ojcowskie odzywa się w jego piersi i postanawia raczej wszystko przenieść, jak stanąć do pojedynku. W tym miejscu scena doprowadzoną jest do ostatecznych krańców artystycznych na punkcie walki uczuć. De Nantya bowiem nie znając przyczyny odmowy pojedynku miota obelgą na Mortemera, a nawet chce mu publicznie wymierzyć policzek, od czego silną dłonią Mortemera powstrzymanym został.

W ostatnim akcie wyjaśnia się rzecz i de Nantya, przebaczywszy Mortemerowi porzucenie matki jego, rzuca się w objęcia ojca. Tu niekłamana łza radości błyszczy w oczach Mortemera, mówiącego do towarzyszy swoich starych kawalerów: patrzcie jakim szczęśliwy, już nie jestem sam, mam syna!

Taką jest treść komedyi konsekwentnie i z wysokim artyzmem przeprowadzonej. Budowa niezmiernie misterna, akcya silna i w niektórych miejscach do potęgi doprowadzona w grze uczucia, z całą naturalnością podjętego. To też prawda psychiczna wielka we wszystkich kreacyach, harmonizujących z niezmierną dokładnością z całą kombinacyą sztuki.

Kontury postaci takiej jak Mortemera, nakreślone wyraźnie, i śmiało artystycznem piórem znakomitego pisarza dramatycznego, dały panu Leszczyńskiemu ogromne pole do spożytkowania olbrzymiego talentu swego. P. Leszczyński też znakomicie odpowiedział zadaniu swemu i uwydatnił wszystkie rysy tej kreacyi tak, jak je uwydatnić należało. Panna Popiel oddała idyllę niewinności w postaci Antoniny bardzo pięknie, a pan Tatarkiewicz był dzielnym mężczyzną, tak jak należało, w roli de Nantya.

Niewspomnieliśmy nic o jednej postaci, która komizmem swoim przedstawiła się bardzo wybitnie. Jest nią Veaucourtois najstarszy z trzech starych kawalerów. Pan Żółkowski z właściwym sobie talentem oddał ją niezmiernie komicznie.

Bo też ten Veaucourtois to sobie pocieszny staruszek, rwący się do miłosnych awanturek z całym zapałem donżuanowskim, lecz wszystko kończy się na dobrych chęciach niedołęgi, bo ani pamięć, ani oczy, ani nawet nogi nie chcą już odpowiadać.

Wspomnieć się także godzi o grze p. Stolpego, który w Clavièrze przedstawił typ eleganckiego rozpustnika.

Już to przyznać trzeba, że awanturnicza trójka starych kawalerów znalazła godnych przedstawicieli na scenie naszej.

Takich sztuk jak *Starzy Kawalerowie*, pragnęlibyśmy widzieć na scenie jak najwięcej. Takie sztuki budują moralność i nie na żarty stawiają teatr na stanowisku pożytecznego przybytku publicznego, w którym tylko prawdziwe piękno jako dobro i prawda gościć powinno. *Feliks Ehrenfeucht.*

ROZMAITOŚCI.

Społeczne.

— Urzędnicy Królestwa Polskiego mają być jak donosi „Nowoje Wremia“ podciągnięci pod przepisy ustawy, o służbie cywilnej, obowiązującej w Cesarstwie. Ponieważ podług tej ustawy do służby rządowej może tylko szlachta wstępować, ci co podlegają ograniczeniom ustawy, pozostawieni zostaną w służbie ale na prawach urzędników kancelaryjnych trzeciego rzędu. Z zaprowadzeniem tego nowego porządku rzeczy powiększonym ma być znacznie departament heroldyi, któremu rozpatrywanie dowodów szlachectwa i zatwierdzanie rang przysporzy wiele roboty.

— Prusacy wysilają się aby jak najprędzej i na zewnątrz zniemczyć prowincye słowiańskie pod ich zarządem zostające. Przerabianie na niemieckie miejscowości nazwy polskie noszących stoi na porządku dziennym, a w ostatnich czasach miasto Kronowo w okręgu Bydgoskim, nazywane przez nich dotąd „Polnische Krone“ z rozkazu gabinetu królewskiego przechrzczone zostało na „Krone an der Brahe.“

— Z powodu zbliżającego się terminu wprowadzenia w życie nowych urządzeń sądowych, nominacye na wszystkie urzędy w całym Okręgu Sądowym Warszawskim, mają być bez żadnej odwłoki dopełnione. Po dopełnieniu nominacyi przybywa do Warszawy pan Minister Sprawiedliwości, w assystencyi wyższych urzędników ministeryum.

— Grób Staszica na Bielanach w takiem długiem zaniedbaniu będący, odrestaurowanym został nareszcie. Biust czcigodnego męża stanie w niszy wzniesionego po nad grobem krzyża, u spodu którego wyryto napis „Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie, swemu założycielowi, 1876 r.“

— Żydkowie zawsze i wszędzie jednacy. Gdy już szlachtę i mieszczan doprowadzili do ruiny, zabierają się do włościan a musieli już znaczne na tej drodze poczynić postępy, skoro jak pisma donoszą, włościanie guberni Kijowskiej przedsiewzięli nadzwyczaj silną reakcyę przeciwko tej gnębiącej ich już zanadto eksploatacyi żydowskiej.

— Dnia 14 b. m. w niedzielę nastąpiło uroczyste otwarcie Osady rolniczo-rzemieślniczej w Studzieńcu w obecności JW. Głównego Naczelnika kraju Generała Adjutanta hrabiego Kotzebue, Członków Komitetu i Zarządu Towarzystwa, oraz wielu innych osób zaproszonych.

— Jak piszą „Birżewyja Wiedomosti“ na zjeździe naturalistów, mającym się odbyć w r. b. w Warszawie, ma być pomiędzy innemi podjęta kwestya co do przyjętego w Rosyi sposobu liczenia czasu. Uczony który podnosi potrzebę koniecznego wprowadzenia w Rosyi przyjętego powszechnie na Zachodzie nowego stylu, głównie się na tem podobno opiera, że egzystowanie dwóch stylów starego i nowego staje się stanowczo niemożliwem w obec coraz szerzej rozgałęziających się stosunków z Zachodem.

Wszyscy uczeni uznali już potrzebę ujednostajnienia stylów, a w Rosyi już i teraz wszelkie meteorologiczne a nawet astronomiczne obserwacye robione są według nowego stylu. Nowy styl egzystuje nadto w zachodnich guberniach, gdzie z tego powodu uroczystości wszelkie obchodzone bywają dwojako, nieoficyalnie według nowego powszechnie tam przyjętego—i oficyalnie według starego stylu.

Na posiedzeniach zjazdu sprawozdawca ma zamiar ograniczyć się tylko na przedstawieniu kwestyi ze strony naukowej, pragnąc tym sposobem osiągnąć tylko ten rezultat, aby na tę sprawę zwróconą została uwagy. Wszystkie zaś kwestye jakie wyniknąć by mogły w razie wprowadzenia projektu w praktykę, mają być zdaniem sprawozdawcy przekazane do rozpatrzenia oddzielnej komisyi która ustanowioną by dopiero wtedy została, kiedyby zjazd po zaakceptowaniu i uznaniu wniosku za potrzebny, wystąpił ze stosownem do władzy przedstawieniem.

Literackie.

— P. Michał Girdwoyń autor „Anatomii pszczoły“ wykończył obecnie nową pracę noszącą tytuł: „O chorobach ryb należących do rodziny łosiowatych,“ która pomieszczoną będzie w Pamiętniku Towarzystwa nauk ścisłych, wychodzącym w Paryżu. Praca ta, jak donosi „Kuryer Codzienny,“ jest częścią ogólnego dzieła, które autor ma z czasem wydać pod tytułem: „Sztuczna i ochronna hodowla ryb, należących do rodziny łososiowatych, opracowana z materyałów zebranych podczas studyów rybactwa w pierwszorzędnych zakładach Europy.“

Przy opisie chorób ryb, autor podaje jednocześnie tak środki zapobiegające takowym, jako też i zaradcze; do tekstu zaś dołącza rysunki do 120 okazów dochodzące. Wszystkie te naukowe okazy znajdują się w posiadaniu pan G., a trzy zbiory takichże okazów, pozostawił on w Londynie, Paryżu i Krakowie.

— P. Zygmunt Gloger pracuje nad dziełem które ma objąć spis wszystkich miast, miasteczek i wsi dawnej Polski z treściwemi wzmiankami topograficznemi i historycznemi przy każdej nazwie. Praca to olbrzymia ale doniosłego nad wyraz znaczenia. P. Gloger zebrał już dotąd 30,000 nazw.

— Pan Kornfeld warszawianin, wydawca pisma humorystycznego petersburskiego „Strekoza“ bawiąc w tym czasie w mieście naszem, pozamawiał dla pisma pomienionego pomoc kilku rysowników tutejszych, i ma się rozumieć Kostrzewskiego przedewszystkiem.

— „Gazeta Polska“ pomieszcza w odcinku listy Litwosa z podróży. Są to pełne sympatycznego humoru pisma znanego felietonisty i powieściopisarza p. Henryka Sienkiewicza, który jako sprawozdawca gazety, podąża na wystawę filadelfijską.

— Nakładem redakcyi „Przeglądu Tygodniowego“ wyszły w dwóch tomach „Pisma Zbigniewa“ (Maryi Sadowskiej).

— Pan Natan Samuely wkrótce wydawać zacznie we Lwowie dwutygodnik w języku niemieckim: „Der Galizische Izraelit.“ Rozumniejby i uczciwiej zrobił p. Natan, gdyby pismo dla izraelitów lwowskich, wydawał w języku polskim. Zbrodnią jest aby żydzi dopomagali do niemczenia ziemi słowiańskiej, w której ich prapradziadowie gościnnego doznali przyjęcia.

Odczyty.

— Docent na katedrze filozofii uniwersytetu Lwowskiego Doktór Julian Ochorowicz, dnia 9 maja r. b. wypowiedział w Towarzystwie Kopernika we Lwowie odczyt: „O histologicznej budowie półkól mózgowych.“

Artystyczne.

— Panna Deryng i pani Zimajer artystki teatru lwowskiego, mają wejść do składu artystów teatrów warszawskich.

— Ze sztuk nie granych dotąd mają być podczas letniego sezonu wystawione na scenie warszawskiej: komedya Lubowskiego „Przesądy,“ komedya J. Zacharyasiewicza „Kupno i Sprzedaż,“ dramat Falkowskiego „Ostatni z Stuartów“ i „Stryj Sam“ W. Sardou, w przekładzie p. Józefa z Mazowsza.

— W Kaliszu Towarzystwo artystów dramatycznych z Poznania p. Doroszyńskiego, rozpoczęło z dniem 10 maja szereg widowisk scenicznych. Towarzystwo to przyjeżdża niezadługo do Warszawy i tu w teatrzyku „Tivoli“ pozostanie przez całe lato.

— Towarzystwo dramatyczne zostające pod dyrekcyą p. Gaweckiego, daje przedstawienia w Łęczycy.

— Pani Judic, śpiewaczce opery teatru Bouffes, na benefisie jej w Petersburgu ofiarowano prezentów za 80,000 franków!

— W Peszcie ogłoszono konkurs na plan pomnika Deaka. Styl pomnika pozostawiono planodawcy, termin 1 września 1876 r. Koszt budowy 100,000 guldenów.

— Pan Henryk Modzelewski dyrektor truppy prowincyonalnej, zjechał do Łowicza gdzie zamierza dać 12 przedstawień scenicznych, a następnie na cały sezon kuracyjny osiedla się w Ciechocinku. Towarzystwo dramatyczne pana M. składa się z 24 osób.

— Gazeta „Wiek“ donosi, że utalentowana fortepianistka panna Natalia Janota wybiera się w podróż artystyczną po Rossyi z zamiarem dawania koncertów w Moskwie i Petersburgu.

Szkoły.

— Kancellarya Instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej Aleksandryi (w Puławach), udziela zgłaszającym się szczegółowe informacye o przepisach, jakie obowiązują młodzież pragnącą wejść do Instytutu.

— „Kuryer Codzienny“ donosi o nowym projekcie konkursowym, to jest, o wyznaczeniu premium dla przewodników lub przewodniczek tych pensyj, w których po najszczegółowszem zbadaniu, wychowanie chłopców lub panienek okaże się najpraktyczniejszem. Myśl to wyborna i godna urzeczywistnienia.

— Wydział prawny uniwersytetu Kijowskiego postanowił nie udzielać żadnemu studentowi stopnia kandydata, jeżeli ten nie posiada dokładnie przynajmniej jednego języka cudzoziemskiego.

Дозволено Цензурою. Варшава 10 (22) Мая 1876 г. W drukarni L. Januszkiewicza. — Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy).

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor Henryk Perzyński